Nr. 176. Lwów — Sobota dnia 1 Sierpnia. Rok 1896.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . 6 „
Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" jak: o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 30 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech . . . 1 „ 50 „
w innych państwach . . . 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 ct.
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 6 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 20 ct.
Reklamy . . . 20 „
Nekrologia . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Piotra w ok. | Iłyi pror.
Jutro: D. 10 po Św. | N. 10 po Sosz.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca g. 4 m. 41 | Zachód „ 7 „ 29

Długość dnia g. 14 m. 48 | Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 31 lipca.

Br. Chlumetzky, jeden z głównych filarów niemieckiej lewicy podczas pobytu swego w Karlsbadzie miał rozmowę o sytuacyi politycznej z redaktorem jednego z pism niemieckich, wychodzących na Morawie. Przedewszystkiem zaprzeczył bar. Chlumecky stanowczo, jakoby miał zamiar utworzyć stronnictwo pośrednie z umiarkowanych członków lewicy, to jest przeważnie z posłów wielkiej posiadłości, który to zamiar niektóre pisma mu przypisywały. Posłowie tego odcienia, jak zaręczał bar. Chlumecky, jak dotąd tak i nadal iść będą zgodnie z postępowymi Niemcami, nie myślą jednak wcale robić opozycyi dla samej opozycyi, gdyż to byłoby nonsensem. Następnie rzekł bar. Chlumecky, że jeżeli skrajni posłowie z lewicy zechcą utworzyć samodzielną frakcyę parlamentarną, to czeka ich bardzo smutny los bo zmiażdżeni będą przez inne stronnictwa. W końcu rzekł bar. Chlumecky, że nie traci jeszcze nadziei, iż przed zebraniem się Rady państwa uspokoją się umysły w liberalnym obozie.

Biuletyny o stanie „chorego człowieka" brzmią coraz gorzej, ale już nie wzniecają zaniepokojenia w Europie, jak gdyby ona oswoiła się z myślą, że nowa amputacya Turcyi jest nieunikniona, a zatem trzeba jej dokonać z takim spokoiem, z jakim w r. 1886 wycięto z jej ciała Rumelię. Właściwie państwo ottomańskie już zupełnie dojrzało do całkowitego upadku, lecz jest jeszcze utrzymywane przy życiu zazdrością współzawodniczących ze sobą mocarstw, które jednak w chwilach stanowczych porozumiewały się ze sobą co do koniecznych amputacyj. Tak w ostatnich kilkudziesięciu latach państwo to utraciło już znaczną część europejskich swych posiadłości. Grecya, Rumunia, Serbia, Bułgarya, Rumelia wschodnia, wreszcie Bośnia i Hercogowina po kolei odpadały od niego. Teraz, jak się zdaje, przychodzi kolej na Kretę, a po niej przyjdzie ta kolej na inne europejskie prowincye, oprócz stolicy z obu cieśninami.

Nikt temu nie winien, oprócz samej Turcyi, która „nie może się zmienić", jak rzekł ks. Łobanów. Europa usilnie starała się podtrzymać Turcyę. Skoro już mocarstwa nie mogły pogodzić się ze sobą na rozbiór, wówczas wychodząc ze słusznego założenia, że korzystniejszy jest słomiany pokój od złotej nawet wojny i lepszy jaki taki porządek, niż zupełna anarchia, postanowiły w roku zeszłym, gdy rozruchami w Konstantynopolu i powstaniem ormiańskiem rozpoczął się teraźniejszy zamęt, ocalić państwo tureckie przed zagrażającem mu rozbiciem i wzmocnić powagę sułtana. Większość mocarstw europejskich zgodziła się na to, że nie należy naglić zbytecznie padyszacha z wprowadzeniem w życie zapowiedzianych od dawna reform. Miały one nastąpić po uspokojeniu zbuntowanych prowincyi. Porta przyjęła skwapliwie ofiarowaną sobie pomoc, jak zwykle nie szczędziła przyrzeczeń, jak zwykle jednak nie myślała o ich spełnieniu. Po długiej i zaciętej walce udało się wojskom tureckim przywrócić spokój w Armenii. O wykonaniu jednak reform, przyrzeczonych pod gwarancyą mocarstw europejskich tamtejszej ludności chrześcijańskiej, nic nie słychać dotąd.

I byłyby rzeczy szły dalej dotychczasową koleją, gdyby w innych okolicach ottomańskiego państwa nie rozpoczęły się pożary i nie zwróciły na nowo uwagi Europy na niemożliwe stosunki tureckie. W odwiecznem siedlisku burz na Wschodzie, na Krecie, zerwała się nowa zawierucha. Wywołane okrucieństwami tureckiego wojska, powstanie na tej wyspie przybrało tem niebezpieczniejszy dla Turcyi charakter, że Kreteńczyków wspiera nieledwie otwarcie posiłkami w ludziach, broni i amunicyi pobratymcza Grecya.

Wnet potem tajony i lekceważony ferment w Macedonii przekształcił się w typowy ruch powstańczy. Dziś już nie ulega wątpliwości, że od gór Rodopskich do Adryatyku wzdłuż całej granicy greckiej, a stąd na północ do Monasteru, czyli niemal do granicy serbskiej i bośniackiej operuje kilkanaście oddziałów powstańczych które biją tureckie wojska. Oczywiście Porta czyni wysiłki, aby stłumić ruchawkę, zbiera wojsko, tworzy nowe bataliony, ale głodne i źle uzbrojone, więc niełatwo będzie pokonać powstańców, którzy są dobrze zorganizowani i uzbrojeni, a kierowani podobno przez greckich oficerów. Tak przynajmniej utrzymuje Porta, która znowu w okólniku do mocarstw zwala całą winę ruchawki na Grecyę, a siebie zupełnie usprawiedliwia. Zwykły to sposób postępowania tureckiego rządu, który zawsze szuka kozła ofiarnego, a nigdy zrozumieć nie może, że nierząd, korupcya i ucisk są jedynemi przyczynami rozruchów. Na ten okólnik mocarstwa nie dały żadnej odpowiedzi, tylko Grecya zaczęła posuwać swe wojska ku granicy, o czem doniósł wczorajszy telegram. Czy rząd ateński czyni to dla utrzymania porządku na swej granicy, czy też przygotowuje się do jawnego wystąpienia przeciw Turcyi, to na razie wszystko jedno, gdyż powstańcy macedońscy widzą w tych wojskach przyjaciół.

Jednocześnie i w taktyce, stosowanej dotychczas przez mocarstwa do Turcyi, zdaje się przygotowywać zwrot stanowczy. Ciągłe zwlekanie z wykonaniem przyrzeczonych reform zaczyna już wyczerpywać cierpliwość dyplomacyi europejskiej, której przedstawiciele przemawiają w Konstantynopolu w tonie coraz natarczywszym. Głoszą, że Rosya stanowczo przechyla się na stronę Kreteńczyków, co właściwie znaczy na stronę Grecyi, a skoro uczyni to Rosya, pójdzie za nią Francya, inne zaś mocarstwa nie zaprotestują przeciw nowej amputacyi Turcyi. Rzecz ta powinna prędko się wyjaśnić, bo chociaż sułtan niezawodnie użyje wypróbowanego środka, to jest zarządzi zmianę gabinetu, powoła nowego wielkiego wezyra i nowych ministrów, ale trudno, aby mocarstwa zadowoliły się tą zmianą. Wiedzą one już dobrze, że czy Sadyk, Ali lub Mehmet nominalnie stoi na czele rządu — w gruncie rzeczy rządzi sam sułtan, który znów słucha podszeptów haremowych swych zauszników. Zaostrza zaś położenie i wywołuje coraz większe zawikłania rozpaczliwy stan finansów tureckich. Pozbawione żywności i żołdu wojsko, powołane pod broń dla stłumienia wybuchających co chwila rokoszów, napada na spokojną ludność, plądruje miasta i sioła, dopuszcza się najohydniejszych nadużyć. W ten sposób wytwarza się błędne koło, z którego nie wybrnie spróchniały organizm państwa tureckiego. Utrzymać go przy życiu nie można, trzeba więc rozbierać częściami, bo inaczej niepodobna uniknąć kłótni między mocarstwami i europejskiej wojny. I oto dlatego Kreta prawdopodobnie już niedługo pozostanie pod sułtańskim rządem.

Korespondencye.

Kraków 26 lipca.

W dalszym ciągu spraw sokolstwa krakowskiego dotyczących, jakie w poprzedniej korespondencyi mojej poruszyłem, a które do kwestyi wyłącznie religijno-moralnej skierowane tam były, zamierzam obecnie pomówić jeszcze o tych uczuciach i pojęciach patryotycznych, jakiemi ostatni zjazd Sokołów w Krakowie zamanifestował się przed publicznością krakowską, a za pośrednictwem dzienników i przed światem.

W programie zjazdu między innemi na dzień 27 czerwca naznaczonym był festyn w parku krakowskim. Oczywiście festyn obrachowanym był po części tak, aby płatne bilety wejścia do parku dały jakąś kwotę na pokrycie wydatków, połączonych z urządzeniem zjazdu. I rachunek zdaje się nie omylił, bo publiczności zebrało się sporo, a i sami Sokoli rozkupili dużą paczkę biletów wejścia.

W zamian za zapłacone prawo wejścia, publiczność i Sokoli bardzo rozmaite mieli w parku rozrywki i przyjemności: do przyjemności w pierwszym rzędzie należała, jak zawsze w tem miejscu, wyborna restauracya z doskonałem piwem, smacznemi przekąskami, niefałszowaną wódką i t. d., następnie muzyka o ile ona w produkcyach swoich zastosowywała się do nastroju przybyłej na zabawę publiczności. Do rozrywek zaś jazda na łodziach, spacery po aleach, huśtawki, loteryjki, przypatrywanie się wypuszczanym balonom, ogniom sztucznym i t. d.

Trzeba przyznać, że wszystko to urządzone było starannie i z gustem, a wymownie świadczyło o chęci zabawienia publiczności w sposób dla niej niekosztowny, a pełny rozmaitości i przyjemny.

Uprzejmość gospodarzy festynu dała nawet sposobność zebranej w parku publiczności usłyszeć ładne śpiewy grona pań krakowskich, które przy akompaniamencie fortepianu wykonały kilka prześlicznych utworów i słusznie też nagrodzone zostały oklaskami otaczających trybunę słuchaczy.

Ten punkt programu zabawy festynowej tak dalece był zajmującym i przyjemnym, że publiczność z żalem oddalała się od trybuny, gdy nadobne śpiewaczki schodzić z niej zaczęły, a prawie biegiem śpieszyła do niej napowrót, gdy w godzinę potem trąbka dała sygnał o nowych produkcyach, które na tejże trybunie rozpocząć się miały. I powtórne produkcye rzeczywiście były — i były powtórne oklaski, ale nie powtórzyło się już to ogólne zadowolenie, jakie było przedtem, nie widać było tego jednomyślnego uznania dla aranżerów festynu. Sokołów krakowskich, jakiem nagrodzeni byli za poprzednie śpiewki, bo stało się coś dziwnie nietaktownego, niepatryotycznego i niepolitycznego: mianowicie odśpiewano dwie zwrotki z pieśni „Boże Ojcze Twoje dzieci" i dwie zwrotki „Boże coś Polskę".

Czy pp. Sokoli zastanowili się nad tem, co zarządzili i co wykonali w celu zabawienia publiczności? Czy uczucia ich religijne zanikły już do tego stopnia, że nie potrafili skombinować położenia, chwili i okoliczności, przy których zamierzali wykonać śpiewy religijno-patryotyczne, śpiewy kościelne? Czy to tak trudno było przewidzieć, że publiczność zebrana wyłącznie dla zabawy, rozbawiona jeszcze bardziej licznemi rozrywkami w ogrodzie oraz restauracyą, a nie przygotowana do słuchania modlitw, zaskoczona niemi, nie potrafi zachować się odpowiednio i tem modlitwę sprofanuje?

I sprofanowano ją rzeczywiście: słuchano tych pieśni w czapkach i cylindrach, z papierosami w ustach, przy rozmowach i śmiechach a w końcu dano brawo!

Krok ten Sokołów krakowskich, a raczej zarządu jego, był naprawdę wielce nietaktowny, niepatryotyczny i niepolityczny.

Nietaktowny dlatego, że nie wypada katolikowi najdroższych skarbów swoich, jakiemi są Bóg i modlitwy do Niego, wystawiać na popis w miejscu wyłącznie na zabawy przeznaczonem, przed ludźmi rozbawionymi, wśród publiczności różnobarwnej i różnowierczej, w chwili jedynie na zmysłowe przyjemności obranej.

Niepatryotyczny dlatego, że podobnie lekkie traktowanie spraw, Ojczyznę naszą obchodzących, nie potęguje, lecz osłabia uczucia patryotyczne; przywykamy do słuchania rozdzierających serce żalów, jak np. „rok po roku marnie leci, my w niewoli, my w niewoli" — z uśmiechem na ustach, rozbawieni, zachwyceni produkcyą dajemy brawo i rozchodzimy się zadowoleni wtedy, kiedy raczej szaty rozdzierać na sobie wypada.

Niepolityczny znów dlatego, że podobne demonstracyjno-patryotyczne wystąpienia, bez żadnego słusznego powodu budzą podejrzliwość wrogów, których raczej spokojną, stałą, zgodną i cichą pracą patryotyczną, uspokoić należy.

Słowem, z jakiegobądź stanowiska spojrzymy na ten niby patryotyczny epizod podczas zjazdu Sokołów, przedstawia się on dla Zarządu tego Sokoła ze wszech miar ujemnie. A dlaczego? Bo właśnie jak w poprzedniej korespondencyi powiedziałem, nie ma w Sokole krakowskim odpowiedniego kierownictwa, a głównie brak w nim cechy wyższej, duchowej, religijnej. Skutkiem tego na każdym kroku są błędy, wewnątrz panuje rozstrój i swary, a zewnątrz obojętność, zniechęcenie, lub nawet jak sam Zarząd w pamiętniku twierdzi — nieprzyjaźń.

A jednak tak być dalej nie może, bo instytucya sokolska stała się już własnością ogółu, którego opinie i wymagania uwzględniać należy. Dobro ogólne wymaga tego, aby działalność sokolska opartą była na zasadach moralnych, patryotycznych i swojskich, więc też w odpowiednie karby ujętą być winna. Ogół posyła tam swoich synów, aby się wyrobili na tęgich ciałem obywateli, ogół buduje na nich nadzieję lepszej przyszłości społeczeństwa, bo w tęgiem ciele tęgi duch, Ojczyzna oczekuje po nich rzetelnej pracy, zadania więc te są tak wielkie i ważne, że bez dyrektywy wyższej, religijno-moralnej, urzeczywistnione być nie mogą.

Z tego wynika, że dwie zupełnie odrębne role pełnić ma przełożeństwo czyli kierownictwo sokolskie: jedna rola jest świecka, do organizacyi stowarzyszenia i zadań fizycznych powołana, druga zaś duchowna, przestrzeganie idei wyższych, religijno-moralnych na celu mająca. Zdawałoby się więc zupełnie słusznem, aby sokolstwo, obyczajem przodków naszych, którzy w każdem stowarzyszeniu miewali swego kapelana, tę drugą część swoich zadań, część duchową, powierzyło kapłanowi, boć to jego rzecz stać na straży kierunku religijno-moralnego; samo zaś aby się zajęło wyłącznie ćwiczeniami fizycznemi, a nie wdawało się przy tem w demonstracye patryotyczne, szczególnie w rodzaju ostatniej, bo to szkodzi sprawie i stanowczo dla naszego sokolstwa obecnie właściwem nie jest.

Inna rzecz jest patryotyzm, a inna demonstracya patryotyczna; gdy być dobrym i gorącym patryotą swojego kraju obowiązkiem jest każdego obywatela bez wyjątku i do tego jak najusilniej Sokołów naszych zachęcać należy, to z drugiej strony urządzanie na własną rękę jakichkolwiek demonstracyi patryotycznych stanowczo musi być wykluczone, bo to wkracza już w dziedzinę polityki, którą zajmować się mogą tylko wybrani, upoważnieni i wypróbowani mężowie zaufania całego kraju.

Najlepszym dowodem szkodliwości tych niby patryotycznych demonstracyi, jakie sokolstwo nasze od czasu do czasu urządzać sobie pozwala, jest najświeższy zakaz policyi poznańskiej, aby w zjeździe tutejszym Sokoli galicyjscy udziału nie brali, bo dla władzy policyjnej byliby „lästig". Zamiast więc zbliżenia się, poznajomienia, zbratania z naszymi współziomkami z dzielnicy sąsiedniej, co niewątpliwie byłoby bardzo pożądanem i wzajemnie oddziałałoby w kierunku cichego patryotyzmu bardzo dodatnio, musimy dziś znieść upokorzenie i co gorzej, musimy w duchu przyznać, że policya poznańska nie zupełnie pozbawioną była słuszności, gdy ochrzciła nas mianem „sprawiających kłopot" — boć groźnymi nas, śpiewających tylko irytujące piosenki, nazwać nie mogła! Przestańmy więc afiszować się bez potrzeby, odłóżmy demonstracye na chwilę właściwą, a teraz tylko pracujmy, pracujmy i jeszcze raz pracujmy, a zawsze z Bogiem, z miłością braterską i z pełnem oddaniem się dobrze zrozumianej sprawie ojczystej.

J. K.

Berlin 26 lipca.

Przewodcy antysemityzmu w Niemczech rozpierzchli się w ostatnich czasach, a wraz z tem ustał pozornie ruch antysemicki. Ale tylko pozornie, bo faktycznie wzmógł on się i pogłębił wewnętrznie i wciągnął do swej akcyi inne skonsolidowane już bardziej koła polityczne. Nie dość na tem, że postulaty antysemitów w formie zmodyfikowanej stały się postulatami stronnictwa zachowawczego, mającego w sejmie pruskim prawie większość, a w sejmie Rzeszy bardzo pokaźną liczbę członków. Niechęć ku żydom przedostała się nawet do stronnictw jak narodowo-liberalne, dotąd względnie dobrze usposobionych dla żydów. Najważniejszem jednak jest to, że tendencye antysemickie zapuściły korzenie w sferach rządowych pruskich i ujawniły się w utrudnianiu żydom dostępu do karyery wojskowej, sądowniczej i nauczycielskiej.

Ale najgroźniej dla żydów przedstawia się podjęta w ostatnich czasach akcya antysemitów przeciwko giełdzie, jako głównej twierdzy żydowskiego wpływu. Antysemici wskazują na giełdę jako na teren, na którym żydzi dopuszczają się największych nadużyć, wywołując w niej zmiany na korzyść własną, a ze szkodą innych, a zwłaszcza drobniejszych kapitalistów. I zabiegi te uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem w postaci nowego prawa, zakazującego gry giełdowej. Ale antysemici nie myślą na tem poprzestać i domagają się daleko radykalniejszych obostrzeń, mogących podkopać istnienie tej dziś tak ważnej instytucyi.

Ale na samej walce z giełdą nie ograniczają się antysemici. Przemawiają oni w sejmach krajowych państw Rzeszy i w parlamencie, w rozpowszechniających się coraz bardziej pismach antysemickich i na publicznych zebraniach. Przemowy te i artykuły podają całe szeregi środków mających na celu wykluczenie żydów ze wszystkich wogóle urzędów państwowych i powoli pozbawienia ich wszystkich praw obywatelskich.

Czy usiłowania te uwieńczone zostaną zamierzonym skutkiem i kiedy to nastąpi? Na to niepodobna odpowiedzieć. Potrzebaby na to zbyt radykalnej zmiany konstytucyi, na którą większość teraźniejszego parlamentu nie przystanie. W każdym razie akcya antysemitów spowodowała już dziś pewne zmiany we wzajemnym stosunku żyjących obok siebie społeczeństw: chrześcijańskiego i izraelickiego; — przepaść między niemi widocznie się rozszerza. Uwagi te nasunęły mi się z powodu wznowionej z hałasem agitacyi Stöckera.

Wielka radość panuje obecnie w Berlinie. Oto rada miejska zawarła umowę z wielkiem towarzystwem tramwajów berlińskich, na mocy której w przeciągu 5 lat do wszystkich tramwajów ma być zastosowana elektryczność i wprowadzoną jednostajna 10-fenigowa taryfa, niezależna od odległości. Pomimo, iż te reformy powiększą nieporównanie dochody towarzystwa, czego dowodzą doświadczenia innych miast, towarzystwo drożyło się wielce, żądając kompensaty. Przedewszystkiem chciało, aby wszystkie linie elektryczne, mające powstać w Berlinie, oddano do jego dyspozycyi. Nawet linia znanej firmy Siemens'a i Halske'go, zbudowana z okazyi wystawy, ma przejść na własność towarzystwa. Dziwna rzecz, rada miejska wbrew protestowi prasy, udzieliła aprobaty. Prócz tego, pomimo, iż deputacya komunikacyjna zażądała wprowadzenia podwójnego prądu, podziemnego i nadziemnego, towarzystwo włączyło do umowy warunek, podług którego jest obowiązane do urządzenia górnego prądu. Miastu

5)

K. W. . . . . l.

HALLALI!

(Ze wspomnień myśliwego „par force").

(Ciąg dalszy).

III.

Nazajutrz rano Prawdzic jeszcze przed herbatą poszedł do stajni obejrzeć konie i wydać swojej służbie dyspozycye, które konie mają pójść na polowanie, a które przedtem odbyć spacer.

Wracając spotkał się z księciem, dążącym też do swojej stajni.

— A, pan już ze stajni wraca; to bardzo pięknie, jakże się spało?

— Doskonale, mości książę.

— A już pan po herbacie?

— Jeszcze nie, właśnie wracałem do swego pokoju.

— Niechże pan idzie do mnie, wypijemy herbatę razem, a potem panu pokażę moją stajnię.

Wypili tedy herbatę, i potem oględziny stajni myśliwskiej, koni zaprzężnych, klaczy stadnych, źrebiąt i młodzieży, trwały przeszło dwie godziny; a przerwał je dopiero przyjazd kilku osób z sąsiedztwa, proszonych na polowanie.

Jeden z pierwszych przyjechał hrabia Artur, wioząc czterma bardzo pięknemi końmi swoją żonę i hrabinę Irenę.

Potem zaczęły się sypać ekwipaże jedne po drugich, byli to po większej części panowie z sąsiedztwa, których jak wyżej powiedziano, książę miał sobie za obowiązek prosić, bo psiarnię utrzymywał i polował, aby w Krzywinie stworzyć bodaj na jakąś część roku ognisko towarzyskiego życia; a poczuwał się do obowiązków dla sąsiedztwa i bądź co bądź, nie mógł nie prosić bliskich sąsiadów, mniejsza o to, więcej czy mniej zabawnych; ale na których pola mógł przejść zwierz goniony, za nim psy i całe polowanie.

Sąsiadów tych można było podzielić na dwie kategorye: jednę rodzinnych parafian źle ubranych i obutych, zażenowanych w swoich czerwonych frakach, a w salonie nie wiedzących co zrobić z rękoma; drugą znowu elegantów prowincyonalnych, którym więcej daleko chodziło o reprezentacyę, węzeł krawaty, ilość fałdów na cholewach butów, niż o sport i polowanie samo. Obie kategorye czuły się zarówno niepomiernie zaszczycone zaproszeniem książęcem.

O jedenastej dzwonek wezwał wszystkich na śniadanie, do którego zasiadło kilkunastu panów w myśliwskim uniformie czerwonym i trzy panie w amazonkach. Panie Helena i Wanda w czerwonych fraczkach i białych kamizelkach przy ciemnych spódnicach, Mimi w całkiem ciemnej amazonce. Księżna, hrabina Zofia, panie Irena i Arturowa, miały polowaniu przypatrywać się z daleka z ekwipażów, nie były więc ubrane do konia.

Przed samem śniadaniem odezwał się na dziedzińcu przeraźliwy głos trąbki, a całe towarzystwo pospieszyło do okien i na peron. Po pod zamek defilowała psiarnia, udająca się na „meet" (punkt zboru). Przodem jechał „huntsman" Fowler w czerwonym surducie z ciemno-zielonym kołnierzem i wyłogami, na których błyszczały srebrne galony i w czarnej aksamitnej czapce, a za jego koniem szło trzydzieści psów, tak równych wzrostem, formami i maścią, że trudno było jednego od drugiego odróżnić; wszystkie były trójkolorowe, na białem tle w plamy czarne i podżare; typ ich trzymał środek między gończemi a wyżłami. Z tyłu za psiarnią jechało dwóch zaganiaczy (Whippers-in) ubranych podobnie jak „huntsman", tylko ze skromniejszemi galonami. Drugą stroną dziedzińca wprost ku bramie, podążał drugi orszak koni myśliwskich, okutanych w kapy.

Kiedy kończono przerwane na chwilę tym pochodem śniadanie, zajechały powozy, które miały całe towarzystwo przewieźć na punkt zboru, o kilka kilometrów od zamku odległy.

— Spodziewam się, że będziesz łaskaw „pilotować" moją żonę — rzekł hrabia Adam do Prawdzica, wstając od śniadania — wiem, że to poświęcenie ze strony takiego namiętnego myśliwego i jeźdźca jak ty, ale wiesz, że ja za słabo i za spokojnie jeżdżę, aby ją módz „pilotować"; a ona nikomu innemu nie odda się pod opiekę, tylko tobie.

— Mogę tylko być wdzięcznym za zaszczyt, a dumnym z położonego we mnie zaufania, z którego będę się starał wywiązać jak najlepiej. Dziękuję i pani i tobie.

Staś już dawno angażowany był przez panią Wandę, aby ją „pilotować".

Kiedy towarzystwo przybyło na punkt zboru — folwark położony wśród stepu — a służba rozbierała konie z kap, Staś, Drogosław i Prawdzic zaczęli je oglądać szczegółowo.

— Popatrz, jaka to dziwna mięszanina typów — rzekł Staś — masz i cienkie arabczuki z ładnemi szyjkami, a unoszące ogonki, i pseudo-angielskie na wysokich nogach, i takie, któreby raczej do kieratu zaprządz, niż za psami na nich jechać, ale cóż? lepiej, że jeżdżą na tem, co mają, niż, żeby wcale nie jeździli.

Przepyszne były konie księcia, hrabiego Artura, oczywiście też Prawdzica, Stasia i Drogosława.

Powsadzawszy amazonki na koń, wsiedli też i panowie, i całe towarzystwo pod komendą gospodarza domu rozciągnęło się długim łańcuchem; oczywiście każdy z panów, który miał obowiązek „pilotowania" którejś z amazonek, jechał obok niej, i ciągle mieli coś z sobą do pomówienia.

Mimi, która pierwszy raz w życiu była na polowaniu, wziął książę pod swoją opiekę. Jeździli tak z pół godziny stępo, szukając zwierza, a reszta pań w ekwipażach drogami i t. z. „ugłówkami" (drożynami polowemi) jechała bokiem.

O jakie dwieście kroków z tyłu za łańcuchem myśliwych szła psiarnia ciągle za koniem Fowlera, eskortowana przez dwóch zaganiaczy.

Staś B, chociaż pilnie flirtował z panią Wandą, zdołał upatrzyć siedzącego w bruździe zająca, dał jej znak, ażeby wstrzymała konia, a sam zatrzymawszy swego, podniósł czapkę w górę. Podjechał książę, któremu Staś harapem pokazał siedzącą zwierzynę.

— Niech go pan ruszy — rzekł książę — tutaj wszędzie dobrze.

Staś podjechał i spędził zająca.

Ten pomknąwszy oglądnął się, strzepał długiemi słuchami i położywszy je po sobie ruszył w step. Myśliwi czekali, aż zniknie z oczu; wtedy książę uderzył w trąbkę, a Fowler kłusem przyprowadził psy, kierując je na ukos przez trop zająca. Były widocznie zirytowane, nerwowe, długiemi ogonami ciągle młóciły powietrze, ale pod grozą harapa i głosu „huntsmana" nie śmiały konia wyprzedzić. Kiedy przechodziły na ukos przez trop, jeden z nich nagle zaskomlił, jak gdyby obdzierał go kto ze skóry, zaraz potem drugi i trzeci zawyły żałośnie i pełnym pędem ruszyły po tropie zająca, a cała psiarnia ze spuszczonemi w dół ogonami, za niemi Anglik krzyknął „Tally-ho"*), a potem zawył: „Yoick-yoick", podniecając psy, takim głosem, że trudno było zgadnąć, czy to pies gada, czy człowiek skomli; i zadął w trąbkę.

Całe towarzystwo ruszyło galopem, trzymając się około stu kroków za Fowlerem. Pierwszy zanim jechał książę z panną Mimi, tuż za nimi Staś z panią Wandą i Prawdzic z panią Heleną. Reszta towarzystwa bardzo niedaleko. Przebyli tak parę kilometrów wcale raźnym galopem; nagle psy zwolniły biegu, podniosły ogony w górę, a w dół spuściły nosy. Fowler podniósł rękę i wszyscy wstrzymali konie. Psy straciły trop. Zaczęto więc szukać, a nie było to łatwem, bo na polu było mnóstwo kupek nawozu, którego ostra woń nie pozwalała psom schwycić napowrót tropu. Anglik zawrócił psy w tył, po chwili zdawało się, że znowu są na tropie, i istotnie z pod jednej z takich kupek tuż przed niemi wyskoczył zając, który tam był przysiadł.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Okrzyk, oznaczający, że zwierz pomknął.

pozostawia się wolność dokonania wszelkich zmian i ulepszeń.

Z powodu wystawy nie daje się w tym roku uczuwać martwy sezon w świecie teatralnym. Nie brak tu ani odgrzewań, ani nowości scenicznych. Jedną z takich nowości jest wystawiona niedawno w królewskim *Schauspielhause* biblijna dramatyczna Engla „Hadasa". Rzecz dzieje się na dworze króla perskiego Ahaswerusa, który ma złego kanclerza Hamana, zawziętego na biedaków i synów Izraela. Króla tego w szpetny sposób zdradziła małżonka, więc kazał ją zgładzić. Dla rozproszenia zgryzoty swego pana, udaje się Haman do miasta aby wynaleźć dla niego dwunożną rozrywkę. Wybór jego pada na uroczą „Hadasę" córkę żyda Mardoniusza, lekarza, będącego na wygnaniu, zdala od swego ludu w stolicy perskiej, Suzie. Okrucieństwa Hamana oburzyły mieszkających w mieście żydów i pewną część ludności, która im sprzyjała. Opornych łatwo skarcili żołnierze królewscy. Hadasa zyskuje jednak względy króla, któremu się zachciało w akcie drogim, aby wszyscy oddali mu cześć jako Bogu. Wiara w Jehowę nie pozwala Mardoniuszowi ugiąć kolan przed Ahaswerusem, który jest tylko człowiekiem.

Perski władzca, który — jak przystało na wschodniego despotę, — wbił sobie w głowę przekonanie, że on jest czemś więcej niż człowiekiem. Opór lekarza, którego wiedzę wysoko ceni, sprawia mu boleść. Cierpi tedy mocno Ahaswerus, nie chce używać gwałtu dla zgnębienia opornego medyka — ale opór ten trawi go jak gorączka. Błądzi po ogrodzie nocą, prosi Mardoniusza, aby zrobił mu tę grzeczność i ustąpił — ale stary Hebrajczyk zaciął się i ani chce słuchać. Król szuka ukojenia w komnacie tajemnej, gdzie [illegible] lampy, a na wspaniałej sofie spoczywa... Hadasa. Ona nie chce być igraszką jego kaprysu, powołuje się na ludzką godność swoją.. wreszcie prawi piękne bajki z filozoficznym sensem. Pod wpływem uroków tej kobiety mania boskości króla opuszcza. Pierś jego, gryziona żądłem dumy, uspokaja się. Odsłania się kotara wspaniałej komnaty i oto w promieniach wschodzącego słońca widzimy króla, jak z ojcowską miłością przemawia do ludu, którego morze głów oblewa głazy jego rezydencyi. Rozumie się, że Hadaza będzie mu wezgłowiem jedwabistem albo nektarem, osładzającym gorycz panowania.

Baśń ta przybrana w dość subtelną rytmiczną szatę przez reżysera „Schauspielhausu" p. Grubego, jest jakby przeciwieństwem w stosunku do innej nowości, którą wystawił „Berliner Theater". Jest nią wielka historyczna tragedya Wildenbrucha p. tyt. „Król Henryk", przedstawiająca zatarg cesarstwa z papiestwem. Gwałtowny, nieposkromiony charakter Henryka IVgo występuje tu w kontraście do energicznej, mądrej i świadomej swych celów postaci Grzegorza VIIgo. Wielką siłą charakterystyki obu głównych figur powiększają dobrze pomyślane epizody i prolog przedstawiający dzieciństwo Henryka i rzucający światło na późniejsze sceny. Od początku do końca wre w dramacie potężna akcya i psuje dopiero wszystko zakończenie, z którego zanadto wyziera szowinizm niemiecki. Henryk tryumfuje niby nad Papieżem. Tendencya wychodzi jaskrawo i niesmacznie i to tembardziej, że nie licuje z prawdą dziejów. Gdyby nie to zakończenie (które sztukę czyni niemożliwą na scenach miast katolickich), tragedya Wildenbrucha wkroczyłaby w sferę arcydzieł, ale taka, jaka jest, jest odnowieniem szekspirowskiej tradycyi, która przez całe niemal nasze stulecie nie utraciła swej siły. Na scenie teatru berlińskiego wystawiono tę sztukę bez przepychu, ale starannie, a pod względem aktorskim doskonale.

I muzyka dramatyczna zyskała jedną nowość, a jest nią dramat muzyczny Rüfera „Ingo", przedstawiony na scenie opery królewskiej Libretto jego, poczerpnięte z powieści Freytaga „Ingo und Ingraban", dzieje się w IXym wieku. Bohater Ingo, król Wandalów, tułacz i wygnaniec, przechodzi smutne koleje miłości z przeszkodami, a porwawszy swą kochankę, Irmbrutę, wbrew woli ojca, króla Wizygotów, niedługo się cieszy szczęściem i pada pod ciosami wrogów. Tekst wcale poprawny, lubo trochę jednostajny, ma charakter pół legendowy, któremu odpowiada muzyka, trzymana w ściśle wagnerowskim stylu. Zdaje się, że nie zapewni ona autorowi nieśmiertelności, ale słucha się jej wcale przyjemnie. Nie jest to, o ile mogę sądzić, dzieło wybitnego talentu, ale także nie należy do gatunku suchej „Kapelmeister-Musik", układanej zapomocą wiedzy kontrapunktowej. Nie porywa, ale i nie nuży, ma pewną poetyczność, nie charakteryzuje ludzi, ale oddaje dobrze nastrój sytuacyi i zajmuje chwilami kolorytem orkiestrowym. Jest to jednem słowem średniej wielkości drzewko wyrosłe z nasion wagnerowskich.

Bawił tutaj podróżnik amerykański, Paweł Kiralfy, który założył się, że bez grosza w kieszeni w 90ciu dniach, odrób podróży z Nowego-Yorku do Europy, pieszo dojdzie aż do Budapesztu. W Nowym-Yorku zarabiał Kiralfy na życie, czyszcząc buty po ulicach przechodniom, podróż do Kopenhagi odbył na statku „Virginia", pracując jako zwykły robotnik, z Kopenhagi do Szczecina na statku „Litania", również pracując jako zwykły robotnik. P. Kiralfy obecnie jest w drodze do Wiednia, spodziewa się dotrzeć do Budapesztu dnia 15 sierpnia. Zakład stanął o 1500 dolarów.

Z teki podróżnej.

Porto d' Ischia, 18 lipca.

Parowiec „Torquato Tasso" zabiera mnie w Neapolu, z portu Immacolatelli, o drugiej godzinie po południu i przerzyna neapolitańską zatokę, pruje lazury morza, sterując ku Ischii. Zostawiamy po lewej ręce Wezuwiusz, od kilku dni niespokojny i wyrzucający ławę na stoki góry, mijamy uśmiechnięte Sorrento, Capri i zatrzymujemy się dopiero przed małą wysepką Procidą, znaną z obronnego zamku, służącego dziś za więzienie karne. Kilka łodzi dobija do parowca, na pokład wsiada kilku osób [illegible] świst maszyny, łoskot kół, bieg [illegible] wody i płyniemy dalej, koło miniaturowej wysepki Vivary. Przed nami rozwija się pobrzeże wyspy Ischii; już można rozróżnić [illegible] bardzo malowniczy Castello d'Ischia; kępy zieloności rysują się coraz wyraźniej i rośnie w oczach potężny grzbiet góry Epomea, panującej nad całą wyspą. Krajobraz [illegible] pełne harmonii i kolorytu. Nie jest to mała, sielankowa Capri — nie, Ischia i wielkością swoją, i zielenią pinij i winnic i ponurym nieco majestatem Epomea, całkiem inne sprawia wrażenie, zwłaszcza, że [illegible] dwóch świeżych katastrof Casamicciolu [illegible].

Ale teraz nie chwila wspominać tragicznego losu miasteczka i strasznego miejsca kąpielowego; nie ma co myśleć o trzęsieniu ziemi, patrząc na zaszły chmurami skalisty szczyt wulkanu, bo na pokładzie — muzyka. [illegible] Dwóch neapolitańczyków śpiewa przy akompaniamencie gitary, potem obchodzą z talerzem; [illegible] uśmiecha się pogoda włoskiego [illegible] południa, [illegible] w porcie Ischii. Nowy parowiec przybija po raz pierwszy do tych brzegów, więc w porcie, według zwyczaju, przyjmują go wystrzałami z moździerzy; [illegible] szereg moździerzy i w miarę jak „Torquato-Tasso" zwalnia biegu [illegible] salwy. [illegible]

Z Ischii dojeżdża się w kwadrans do Porto d'Ischia, gdzie się jest trochę na uboczu od wulkanicznego Epomea, w przyzwoitej odległości od nieszczęsnego Casamicciolu, a najbliższem sąsiedztwie portu i stacyi z Neapolem. Skoro bowiem tutejsza cisza porządnie już dokuczy, kiedy się zatęskni za krzykiem, hałasem i gwarem miejskim, wtedy siada się na jeden z parowców, kursujący dwa razy dziennie po zatoce i po trzech godzinach jazdy można swobodnie przechadzać się wieczorem po parku Villa Nazionale w Neapolu, po galeryi Umberto, lub słuchać muzyki na Piazza del Plebiscito. Nie mogę powiedzieć, abym czuł wielkie pragnienie przerzucania się na spieczone od żaru słonecznego ulice Partenopy; przy 33 stopniach ciepła (Celzyusza) pobyt na wyspie nad morzem jest niewątpliwie o wiele przyjemniejszym. Rano od siódmej godziny do jedenastej jest trochę ruchu w Porto d'Ischia. Wtedy można spotkać znajomych nad morzem, przy kąpieli, przed kawiarnią. Potem wszyscy się zamykają i drzemią. Zamknięte okiennice mieszkań, sklepy przymknięte, kawiarnia cicha — tak pozostaje do szóstej wieczorem, kiedy chłodny wiatr od morza orzeźwi powietrze. Życie budzi się na nowo, urządzają się spacery łodzią po morzu, powozem do odległej o pół godziny Casamicciolu, młodzi wybierają się na najwyższe szczyty Epomea — i to tak trwa do północy.

Wygasły wulkan już dzisiaj nie wybucha. Choć trzęsie się od czasu do czasu, jak w r. 1881 i 1883, kiedy [illegible] tutejsze miasteczka runęły i zagrzebały pod gruzami mnóstwo ofiar. Ostatni wielki wybuch miał miejsce w r. 1301. Lawa rzuciła się wtedy ze szczeliny u stóp góry, spłynęła potokiem do morza, spaliła wszystko co napotkała. Wszyscy mieszkańcy uciekli. Dziś jeszcze, ku miasteczku Ischii, [illegible] czarnych złomów trachytu wskazuje, którędy [illegible] lawy. Spieczone, szkliste, czarne gruzy przedstawiają opłakany, jakby dantejski krajobraz. [illegible] pinij, [illegible] tylko pinie, figowe drzewa i kaktusy zapuściły korzenie, rozsadzając po sześciuset latach wulkaniczną [illegible].

Ale dzisiaj mało już pozostało śladów wielkiej erupcyi Epomea. Cała wyspa, mająca około czterdziestu kilometrów kwadratowych rozległości — tonie w zieleni winnic, sadów i gajów oliwkowych. Góra Epomea, aż pod sam prawie szczyt, zajęta jest winogradem, ogrodami i sadami. [illegible] i gorących źródeł, a więc dla obfitości wilgoci, roślinność jest bujna, palmy, [illegible] jednak [illegible] łodzi, [illegible] tem [illegible] gra[illegible] oli[illegible] choć [illegible] jakiś [illegible] wulka[illegible] że [illegible]

Wspaniałym w swoim rodzaju jest Castello d'Ischia, [illegible] kompleks [illegible] skale [illegible] więzienie karne, a dziś całkiem opuszczony i pustkowiem. [illegible]

Bo jest jeszcze Epomeo. Nie można, będąc na Ischii, nie wdrapać się na szczyt wulkanu, [illegible] Wezuwiusz, tylko, że z Epomeo krajobraz [illegible] ku Afryce!

Wycieczka jest długa i męcząca, jest zbyt długa, [illegible] Bo Ischia [illegible] bujne, przyjeżdża dla świeżego powietrza, [illegible] pieli w czystych wodach morskich, bo na Pauzylipie nadto jest upalno i woda morska nie tak czysta. A i tak wycieczka na Epomeo zabiera jakie pięć godzin. Wyjechaliśmy o szóstej zrana, wśród chłodu i świeżości poranku. Nie jedno można zarzucić gminie Porto d'Ischia, brak publicznego ogrodu, nie dość wygodne kabiny kąpielowe nad morzem, ale za to nic nie można zarzucić środkom komunikacyjnym. Wprawdzie, we Włoszech osiołek jest jedną z głównych podpór tutejszych komunikacyj, filarem życia publicznego i prywatnego, ale i drogi na Ischii są znakomite. Z Porto d'Ischia zbacza się z głównej ulicy w stronę wulkanu, między winnice, wygodną kołową drogą, coraz wyżej i wyżej. Mały tutejszy konik ciągnie doskonale. W ten sposób mijamy osady: Testaccio, Barrana, Moropano, Serra Fontano, gdzie jeszcze widoczne są gruzy, pozostałe po ostatniem trzęsieniu ziemi. Droga robi się coraz więcej spadzistą w miarę jak się wznosimy, krajobraz rozszerza się, roztacza w coraz szerszych widnokręgach, gdzieniegdzie niebieska szyba morska ściele się w nieskończoność. W Serra Fontano opuszczamy powozik. Dalej, trzeba się drapać piechotą. Jeszcze pół godziny męczącej drogi pod górę, ścieżką pomiędzy skałami, w pocie czoła — i o ósmej jesteśmy już na samym wierzchu. Jest tu w kuby w skale mały kościółek, poświęcony św. Mikołajowi, jest i pustelnik, choć dla tego tylko nazywa się pustelnikiem, że nosi długą brodę. Przyjmuje nas oczywiście bardzo życzliwie, bo białe wino sprzedaje, co po zmęczeniu drogą, razem z świeżą miejscową wodą doskonale orzeźwia. Na samym szczycie pomiędzy skałami wykuto *belvedere*, zasługujące w samej rzeczy zupełnie na trochę tu już spowszechniałą nazwę.

Z jednej strony cała zatoka neapolitańska, z Wezuwiuszem i wyspami, Pauzylippem i podbrzeżem, a u stóp góry przez szkła widać dokładnie Casamicciolę, Laco Ameno, Forio, miasteczko Ischia i jeszcze kilka pomniejszych miejscowości, przyległych do morskiego brzegu, zamieszkałych przez ludność rybacką, przez trochę mieszczan, a w lecie przez neapolitańczyków, gości z Malty, Elby i z różnych stron Włoch. Z drugiej strony rozciąga się niezmierna szyba morza Śródziemnego ku dalekim stronom, od których przychodzi „sirocco", niosący czasem i piasek pustyni. Chłodno i świeżo na szczycie Epomeo, a kiedy wiatr zawieje, ogarnia swym zimnym płaszczem przechodnia. W zimie śnieg pokrywa wysokości; zbierają wtedy skwapliwie lodowatą skorupę, zbijają w kawałki i chowają do lodowni, wykutych w skale.

W ciemnym krużganku gdzie nam podają wino, chłodno jak w piwnicy; uciekamy na świat Boży, aby się nie przeziębić. Z tych wysokości przyglądamy się jeszcze raz kąpielom Casamiccioli, do której się wybieramy, aby obejrzeć źródła, miejscowość i ruiny, jakie dotąd z wielkich budynków murowanych pozostały, bo teraz już nie budują inaczej, tylko małe domki z drzewa i żelaza. Po odpoczynku i zapisaniu się w książce podanej przez pustelnika, zaczynamy schodzić. Słońce już porządnie dopieka i gdyby nie wiatr chłodzący nas i nadzieja rychłego powrotu, nie bylibyśmy tak żwawi. Dokuczliwy również jest blask słoneczny i dlatego mój towarzysz nałożył niebieskie okulary.

Kiedy jesteśmy z powrotem w Porto d'Ischia, kąpiel w czystem morzu pozwala nam zapomnieć o zmęczeniu, pragnieniu, odświeża ciało, tak jak spoczynek południowy przywraca ochotę do zajęcia umysłowego.

Zrobiłem tu między innemi bardzo cenną i miłą znajomość z dyrektorem tutejszego obserwatoryum sismograficznego, Słowianinem z Istryi, panem Grablovichem. Bardzo uprzejmy, uprzedzająco grzeczny, bardzo wykształcony, ischiański Palmieri stoi na czele dwóch obserwatoryów: w Casamicciolu i Porto d'Ischia. Kiedy w krótkim przeciągu czasu, bo tylko z przerwą dwóch lat, t. j. w r. 1881 i 1883 gwałtowne trzęsienie ziemi nawiedziło Ischię, rząd włoski nakazał urządzenie obserwatoryum, podobnego, jakie jest oddawna na Wezuwiuszu. Obszar wulkaniczny Ischii i Epomeo nie ma bezpośredniej styczności z obszarem sismicznym Wezuwiusza, dlatego niezbędnem było odrębne obserwatoryum, tem więcej, iż w lecie, wobec napływu gości i chorych, życie tysiąca osób może być i jest w ciągłem niebezpieczeństwie, jeśliby góra ponownie „ruszyć się" miała. Dla tych ludzi, dla publiki, wystarcza widok obserwatoryum, wieżyczki, pokoików, narzędzi zagadkowych, po których dyrektor chętnie oprowadza, aby ich uspokoić. Znalazł się także Japończyk, profesor uniwersytetu z Tokio, wykształcony i sympatyczny człowiek, który obszedł z nami dwa obserwatorya: prywatne w mieszkaniu dyrektora i drugie na stoku Epomeo. Przyznam się odrazu, że bardzo mało co zrozumiałem z objaśnień, udzielonych przez uprzejmego p. Grablovicha, daleko więcej zadowolony był Japończyk, jako specyalista, podróżujący celem wykształcenia się w sismografii, którą wykłada w Tokio. Widziałem kilkanaście przyrządów, bardzo czułych na wstrząśnienia i prądy telluryczne, zapisujących wszystko z dokładnością zegarów, do których są zbliżone wyglądem, ale pojąć — nie pojąłem.

Jednakowoż udałem się z prośbą do zacnego p. Grablovicha:

— Powiedz mi pan — nieprawdaż? — jakby pańskie przyrządy zaczęły wskazywać takie brzydkie rzeczy, co to... pan wie?... to mnie pan uprzedzi, ażebym mógł uciec? Nieprawdaż? — dodałem, robiąc minę bardzo uprzejmą.

— Niestety — odpowiedział mi — przyczyna trzęsień ziemi jest czysto mechaniczną. Niech się tam coś zawali w wyżłobieniach wnętrza albo niech woda morska wtargnie do gorących czeluści wulkanu i wytworzy parę, która potem rozsadza, przyrządy tego nie zapowiedzą, nie ostrzegą; mogą skonstantować, ale nie uprzedzą!... Tak daleko jeszcze nie jesteśmy w nauce... Wiemy wszystko, ale *post factum*.

I co powiecie przyznam się, że szczerość dyrektora uspokoiła mnie nieco. Zdałem się na wolę Bożą. Przyrządy zapisują najmniejsze wstrząśnienie. Niech zapisują. Tak np. w nocy z d. 8 na 9 lipca było gdzieś, nie wiadomo gdzie, trzęsienie ziemi. Dyrektor powiada, że zdaje się w Afryce, gdzie się mało o nie troszczono, bo wiadomości nie było. Ale w Porto d'Ischia przyrządy zaraz puściły się w zygzaki na papierze, dzwonki dzwoniły, specyalne zegary się zatrzymały i dyrektor mógł zasygnalizować, alarmować telegrafem do Rzymu, choć, jak powiada, dotąd nie wie, gdzie było trzęsienie. Widziałem w ten sposób zaznaczone kabalistycznemi kreskami na zwojach papieru, zachowanych w archiwum, ostatnie trzęsienie ziemi w Kalabryi, Florencyi, Lublanie, bo tutejsze przyrządy wykazały je z wszelką dokładnością. Taki przyrząd zaczyna ni ztąd ni zowąd rysować kabalistyczne znaki, wskazuje siłę trzęsienia, pojedyncze poruszenia, z matematyczną drobiazgowością.

Nasz Japończyk był uszczęśliwiony tym wykładem. Japonia jest krajem bardzo wulkanicznym, tylko, jak powiada, kratery nie wyrzucają tam nigdy lawy, jeno kamienie; trzęsienia ziemi trwają w Japonii czasem pół godziny, wszystko go więc tutaj, jako znawcę, zajmowało.

Zapoznawszy się tedy z kwestyą wulkaniczną w Japonii i na Krakatoa, wróciłem z mojej wycieczki sismograficznej z głową pełną aneroidów i pluwiometrów, hydrometrów, pendykułów, zegarów, z zamiarem odwiedzenia podobnego, większego obserwatoryum w Casamicciolu, dokąd mnie uprzejmie zapraszają i gdzie się przyjrzę także spustoszeniom, jakich ślady dotąd pozostały.

Zresztą jest jeszcze jedna ciekawość na Ischii, której pominąć nie podobna — prawdziwy, autentyczny sycylijski rozbójnik, Pavola. Przed kilkudziesięciu laty rozbijał, mordował, napadał w Sycylii, wreszcie wszedł w układy z Burbonami, ułożył się, dostał pensyę i osiadł na Ischii, gdzie kończy spokojnie swój żywot, otoczony czcią i uwielbieniem, jak patryarcha... Ciekawa osobistość, z którą się chcę spotkać i pomówić.

Ogińczyk.

KRONIKA.

Lwów 31 lipca.

Marszałek krajowy, hr. St. Badeni wyjechał na kilkudniowy pobyt do Wiednia.

Poświęcenie pomnika Teofila Wiśniowskiego odbyło się dziś o godzinie 11 rano na górze Kleparowskiej. Pomnik wykonany z piaskowca, w kształcie kolumny, z której szczytu się wznosi orzeł, mieści na sobie napis, wyrażający, że pomnik ten stanął staraniem mieszczan lwowskich, pod napisem zaś umieszczoną jest płaskorzeźba z marmuru, przedstawiająca popiersie Teofila Wiśniowskiego. Na uroczystość zebrało się przeszło 300 osób. Po poświęceniu pomnika przez ks. kanonika L nkiewicza, zabrał głos poseł Michalski, który się głównie do wzniesienia pomnika przyczynił i skreśliwszy po krótce życiorys Wiśniowskiego oddał pomnik w opiekę młodzieży rękodzielniczej. P. St. Ciuchciński odczytał na pergaminie spisany akt oddania pomnika, na czem się uroczystość po odśpiewaniu jeszcze kilku pieśni patryotycznych, skończyła. Na pomniku złożono kilka wieńców.

Wielki festyn urządza Stow. „Rodzina" w niedzielę, 2 sierpnia na Strzelnicy miejskiej. Dochód przeznaczony na fundusz doraźnej zapomogi dla wdów i sierót po członkach Stowarzyszenia.

Wyścigi cyklistów. Donoszą nam z Sanoka, że tamtejszy oddział cyklistów urządza 9 sierpnia b. r. w Rymanowie wyścigi. Komitet, któremu wła-

4)

Nasze uchybienia i zadania
w życiu religijnem.

Mowa hr. Stanisława Tarnowskiego, wypowiedziana na ogólnem zgromadzeniu Wiecu katolickiego we Lwowie dnia 8 lipca 1896.

(Dokończenie.)

My o to winniśmy się starać, żeby u nas wszystko było na wskróś prawdziwem. Podstępem i wykrętem nieprzyjaciela nie zwyciężymy, bo on tą bronią włada jak mistrz, i zrównać mu nie zdołamy, choćbyśmy próbować chcieli. Na odwrót prawdą zwyciężyć go możemy i musimy, bo on ani tą bronią walczyć, ani na tem polu poruszać się nie umie. Pozorem też ani Pana Boga nie oszukamy, ani ludzi nawet na długo, ani sprawie żadnej skutecznie nie usłużymy. Ta rzetelność zaś powinna być we wszystkiem: w naszem życiu prywatnem i publicznem, w naszem urzędowaniu, gospodarowaniu, handlowaniu, w naszych książkach, w naszych dziennikach, w naszych stosunkach z ludźmi, i w naszej opinii o ludziach. Niech wszyscy widzą, że robimy tak, jak mówimy, a będą nam wierzyć dobrzy, źli będą nas się bali. Ta prawda da nam dwie cnoty wielkie, a u nas rzadkie. Odwagę, która nie boi się narazić ani na walkę, ani na prześladowanie: i opinię, która strzeże czystości i honoru ludzi, domów, stronnictw, spraw i narodów. My podwójnie, bo jako katolicy i jako Polacy, jesteśmy obowiązani do wielkiej wysokości moralnej, a do tej dojść, na niej utrzymać się możemy tylko przez rzetelność uczuć, rzetelność przekonań, rzetelność woli. Jako katolicy mamy ten obowiązek pospołu i równo ze wszystkimi innymi katolikami na świecie, ale jako Polacy, mamy go dla tego, że dopiero, kiedy będziemy lepsi niż wszyscy, możemy stać się tak silnymi, jak niektórzy. To jedyna wyższość, jaką dziś w naszem położeniu osięgnąć możemy.

Mamy po temu niektóre warunki. Widzi się u nas, w tych dzisiejszych czasach, zjawiska tak piękne, tak wzniosłe, że serce rośnie, a otucha się podnosi i mówi: nie, to marnem, to straconem, to bezskutecznem być nie może to musi coś znaczyć i coś sprawić. Nie w duchownem nawet, w świeckiem życiu, są miedzy nami takie fakta budujące i podnoszące na duchu. W której naprzykład literaturze świata, i to w tej zwykle jednodniowej, bieżącej, najpłytszej zwykle i najzepsutszej, która się romansem nazywa, znajdzie mi kto i wskaże dzieło o celu i charakterze tak szlachetnym o skutku możliwie tak zdrowym i uzdrawiającym, jak „Ogniem i mieczem"? Czy te Sienkiewicza powieści, wszystkie jak są, nie pytają narodu: „Quo vadis?" i nie mówią mu: „Idźmy za Nim! Która sztuka na świecie pokaże artystę, któryby jak Matejko pojmował swoją sztukę jako służbę Boga i ojczyzny, i tą podwójną miłością gorzał całe życie bez jednej chwili osłabienia, choćby tylko wytchnienia w trudzie i w ofierze? Która nauka tak z tych dwóch miłości poczęta, niemi rozpłomieniona, jak nauka Szujskiego i Kalinki? która zdolna tak sobą być w zupełności i doskonale, a ponad sobą uznawać, miłować i pełnić przykazania wyższych jeszcze praw i celów? Szukajmy zjawisk podobnych wśród szczęśliwych narodów: kwestya czybyśmy je znaleźli. Nad temi wzniosłościami i zasługami dopiero, wyżej od nich, wznoszą się te ofiary, cierpienia, bohaterstwa, prześladowania znoszone bez żadnego już ziemskiego widoku czy celu, czyste i wprost za wiarę i dla Boga; żywoty biskupów i kapłanów takich jak Feliński, w wspaniałym orszaku wielu sobie podobnych, i te dopiero nieznane bezimienne ofiary, te podarte podlaskie sukmany, które w niebie kiedyś świecić będą królewskim szkarłatem męczeństwa i białością lilii przez czystość zamiaru i ofiary. Czy to wszystko mogłoby być daremnem? Nie, z samego dna serca podnosi się nadzieja: to musi wydać plon, a odnieść skutek.

Przecież, kiedy z tych sfer wysokich spuścić wzrok niżej, to strach bierze i zwątpienie przywala otuchę. Ziemia nam się z pod nóg usuwa. Gdzie indziej nabywać jej zakaz a pozbywać przymus: tu bez przymusu, z naszej wolnej, lecz nie dobrej woli, ile jej przeszło w ręce ludzi obcej krwi, obcego ducha, obcej wiary? Ile zaniedbania dobrych sposobności? Ile złego użytku z wolności? Ile niewiadomości i obojętności w sprawach czy kościoła czy narodu? I Ile przez to wszystko już dokonanego, gotowego, szerzącego się zepsucia i zgorszenia?

Dla czego tak? Dla czego tyle mądrości i cnoty wzniosłej, a wpływu z niej i skutku tak mało? Dla tego, że pomiędzy wzniosłą myślą i zasługą najwyższych, a prostą wrodzoną uczciwością i rozsądkiem prostodusznych, nie ma tych ogniw, któreby jedno z drugiem łączyły, i rozprowadzały wszędzie po całym kraju, tę myśl, tę radę, tę świadomość obowiązku względem Boga i Ojczyzny, które w wybranych duszach i umysłach określają się doskonale, a dojść powinny do wszystkich, jeżeli ich podnieść mają. Tych ogniw, tych drutów, po których święta iskra miłości i cnoty dostać się ma wszędzie i każde serce elektrycznie wstrząsnąć, tych nam brak. Druty mogłyby być; ale iskry przejmują i odwracają złe przewodniki, namiętności i uprzedzeń, niewiadomości i zarozumiałości, fałszywych pojęć i fałszywych zasad, opieszałości, lekkomyślności, lękliwości, czasem nawet patryotycznej i religijnej obłudy. A gdzie tych spojeń brak, gdzie ciągłość przerwana, gdzie między ogniwami uczepionemi wysoko o samo niebo, a temi, które dotykają ziemi, nie ma średnich, tam jedne nie spuszczą na ziemię tej siły jaka w nich jest, a drugie nie podnoszone do góry, opadną. „I geniusze marnieją, gdy medium dla nich zabraknie," mówi Szujski. Nie geniusze tylko: i cnoty, i zasługi zmarnieć mogą, jeżeli ich to właściwe środowisko nie otoczy i z nich nie skorzysta. Nasze dzieje niestety są pasmem takich wielkich zbawczych myśli, takich wielkich dzieł podjętych, a zmarnowanych, bezskutecznych, bo im szerokiej podstawy, bo im tego środowiska zabrakło, które rozumie, przyjmuje i „wciela pomału w kształt dotykalny". Od Batorego i Skargi do Trzeciego Maja, a od tego do Krasińskiego i Kajsiewicza „widziałem rój myśli świętych rozwieszonych nad polską ziemią, ale na ziemię nie zstępowały", bo im brakło tego środka, tego łańcucha, co łączy wzniosły szczyt z szeroką podstawą.

Sam ten rok, czy nie przywodzi nam na pamięć takiej myśli zbawczej, takiego dzieła wielkiego, takiej chwały i zasługi w niebie i na ziemi, a osłabłej, sparaliżowanej i dziś zagrożonej zagładą, a dlatego tylko, że nie znalazła tego środka, któryby zrozumiał, przejął się nią i pilnie, ściśle, gorliwie, wcielił w kształt dotykalny! Dziewięćdziesiąty szósty! Wielkie, święte dzieło, które mogło temu narodowi bramy niebieskie otworzyć, a na ziemi wiecznie trwałą siłę zapewnić; a dziś wspomnienie gorzkie i upokarzające, bo środka nie było! Bo w samym początku stanęła na wspak, zwichnęła, podkopała, przepołowiła wściekła pycha jednego wielkiego pana, bo później w ciągu wieków nie rozumiała lekkomyślność, nie pielęgnowała opieszałość, nie szanowała zarozumiałość — i tem, czem być mogła, nie stała się Unia ani dla Kościoła, ani dla Rzeczypospolitej.

Czy przeto stracona? czy zmarnowana zupełnie i niepłodna dlatego, że przez niektórych na śmierć skazana i za umarłą ogłoszona? O nie! Jest w dobrem, jest w zasłudze, moc tajemnicza, przez Boga samego nadana i strzeżona, która trwa i działa nie zawsze widzialnie, ale zawsze skutecznie My nie widzimy związku między wielką myślą i zasługą Zygmunta III, Ruckiego, Pocieja, między męczeńską śmiercią Jozafata, a tem męczeństwem ze krwi i z prześladowania, tą wiernością i cnotą, jaką świecą dziś prawnuki tych, których oni z Kościołem połączyli. Ale czy tego związku nie ma? czy zasługa dzisiejsza nie jest skutkiem i nagrodą dawnej? A z czasem, czy ona także skutków nie wyda i nagrody swojej nie odniesie, czy przyszłość nie dojrzy związku między dzisiejszem prześladowaniem, a tem odrodzeniem, na które, da Bóg, może patrzeć będzie?

Z zasiewu, przed trzema wiekami rzuconego, dziś zdeptanego i zaoranego, został się korzeń tu w tej ziemi, w tem mieście, a w naszych oczach soków żywotnych nabiera, liście puszcza i zakwitł świeżo wielką w Kościele Bożym ozdobą i chwałą. O niechże go Bóg błogosławi i strzeże, niech go mocą swoją wspiera, żeby się rozrósł, konary nowe roztoczył tam, gdzie jego przeznaczenie i prawo: a ludzie niech go czczą i miłością i staraniem otoczą, żeby go przechodzący szkodnik nie obrywał i nie łamał. Nam zaś niech to będzie przypomnieniem i przykładem, że najlepsze myśli i zamiary mogą skutku swego nie wydać, jeżeli się ich pilnie nie strzeże, i niech nam Bóg da w dzisiejszym mniejszym zakresie, nic już nie zaniedbać, wszystko spełnić, co sobie postanowimy i przyrzeczemy.

To piękne słowo: Unia, przypomina najwyższą najświętszą ze wszystkich modlitw, tę, którą Zbawiciel, zanim wyszedł do oliwnego Ogrojca, modlił się do Ojca swego, nie za apostołami tylko, ale i za tymi, którzy przez nich uwierzyć mieli: *Rogo, ut omnes unum sint.* Nie w różnych językach tylko, lub obrządkach, ale w każdym zosobna języku czy obrządku, żeby ci, co uwierzyli, byli *unum* i żeby byli *sanctificati in veritate.* Tej modlitwy Bóg nie może nie wysłuchać, jeżeli tylko ludzie choć trochę dopomódz jej zechcą. Za nami ona prosi, za synami Kościoła, za katolikami. Możemy stać się jednem, jeżeli uświęcimy się w prawdzie, w prawdzie wiary naprzód, a przez tę w prawdzie uczucia, przekonania i woli.

To nasze zadanie, to zadośćuczynienie za nasze uchybienia, to „wśród burz niepokoju" droga do tego pokoju, o który wszyscy prosimy: *ut corda nostra mandatis Tuis dedita, et hostium sublata formidine, tempora sint protectione Tua tranquilla.*

ściciele Rymanowa chętnie z pomocą pośpieszyli, nie zaniedbał niczego, by zamierzone wyścigi zadowoliły tak biorących w nich udział jak i zebraną publiczność. Znany z zalet swoich tor wyścigowy rymanowski został do odbyć się mających wyścigów stosownie przyrządzony, tak, że nie pozostawia nic do życzenia. Kilka najpoważniejszych biegów uposażonych złotemi i srebrnemi medalami dla zwycięzców zajmą bezwątpienia każdego widza, a wspaniałe korso kwiatowe z toru do Zakładu zdrojowego przedstawi publiczności stalowe ramaki artystycznie kwiatami ozdobione. Zakończy zabawę wieczorek z tańcami w Zakładzie zdrojowym.

O pożarze w Podwołoczyskach otrzymujemy następujące szczegóły: Pożar wybuchł dnia 27 bm. o godzinie 9 rano w jednym z małych domków śródmieścia. Kilka dni trwająca posucha przygotowała strzechy i dachy na tak podatny materyał palny, iż o ratunku mowy być nie mogło, to też straż ochotnicza, pod wodzą p. Czarnika i kolejowa z pp. Frankowskim i Mroczkowskim na czele, starali się tylko zlokalizować pożar. Ludność miejscowa, składająca się przeważnie z żydów, nie brała żadnego udziału w ratunkowej pracy. Że całe miasteczko nie stało się pastwą płomieni, zawdzięczyć należy strażom, oraz urzędnikom kolejowym, którzy z całem poświęceniem pracowali nad pokonaniem strasznego żywiołu. Około 90 rodzin znajduje się dziś bez dachu, w strasznej nędzy, którą im ulżyć stara się komitet ratunkowy, zawiązany przez miejscową inteligencyę. Badając przyczyny pożaru, wykryto straszne nieporządki, jakie dzięki niedbalstwu miejscowego naczelnika gminy p. Zimmermana panują. Przepisy ogniowe istnieją tu na to, aby ich wcale nie wykonywano.

Do historyi austryackiego hymnu narodowego. Przed kilku dniami wydało ministerium oświaty nakazało szkołom używać „normalnej“ melodyi austryackiego hymnu ludów. Otóż nie tylko melodya tego hymnu, ale i tekst jego był kilkakrotnie zmieniany. Historya tej pieśni jest następująca: Józef Haydn (urodzony 31-go marca 1732 w Rorau koło Brucku nad Litawą, umarł 31-go maja 1809 w Wiedniu) zachwycał się podczas swego pobytu w Anglii brytańskim hymnem narodowym „Boże chroń króla“ (God save the king). Zapragnął napisać podobny hymn dla Austryi i to swoje życzenie wypowiedział baronowi van Swieten, który, będąc reformatorem szkół w Austryi, stał jednocześnie na czele wielkiego Towarzystwa muzycznego. Swieten powiedział o tym zamiarze Haydna prezydentowi rządu dolnoaustryackiego, Franciszkowi hr. von Saurau, któremu ta myśl bardzo się podobała. Poruczył tedy profesorowi estetyki przy Theresianum, Leopoldowi Gaszcie ułożyć poezyę, a Haydn skomponował hymn. W styczniu 1797 ukończył on swoją robotę. Dnia 12 lutego 1797 w dzień urodzin Cesarza Franciszka odśpiewano ten nowy hymn w zimowym teatrze w obecności cesarskiej rodziny po raz pierwszy publicznie. Hymn Haydna przyjęto z zapałem i podawano sobie z ust do ust. Gdy po śmierci cesarza Franciszka w roku 1835 objął rządy cesarz Ferdynand wówczas ułożył przebywający we Wiedniu poeta Karol de Holtei do hymnu narodowego nowe słowa. Używano jeszcze kilku innych tekstów, dopóki cesarz Franciszek Józef I nie polecił w roku 1853 poecie Gabryelowi Seidlowi ułożyć nowego tekstu, który też dotąd obowiązuje oficyalnie. Tekst ten uznano rozporządzeniem z dnia 27 marca 1854 za autentyczny. Kiedy z czasem zaczęto tu i owdzie zmieniać pierwotną melodyę, postarało się ministeryum wojny o ustalenie melodyi w tak zwanej normalnej melodyi dla orkiestr wojskowych, na podstawie oryginalnej muzyki Haydna. Zatwierdzono ją 6 go kwietnia 1890. Tę to normalną melodyę zaprowadziło teraz ministerstwo oświaty we wszystkich szkołach austryackich.

Rozmowę z Pobiedonoscewem, nadprokuratorem synodu, miał petersburski korespondent *Neue fr. Presse*. Rozmowa ta zawiera kilka bardzo znamiennych wynurzeń o rosyjskich kwestyach bieżących. Na szczególną uwagę przedewszystkiem zasługuje zdanie nadprokuratora, iż ci, którzy stoją u steru, z powodu rozległości obszaru i „wybitności charakteru“ państwa rosyjskiego, nie mają nawet dokładnego pojęcia, czego Rosya potrzebuje. Omawiając kwestyę żydowską, tak mówił Pobiedonoscew do korespondenta:

„Gdy kwestya żydowska stała u nas na porządku dziennym, otrzymałem listy ze wszystkich stron świata, z Niemiec, Francyi, Anglii, Ameryki, nawet Australii! Ogromnie mi złorzeczono. Człowiek pewien pisał mi, podając własne nazwisko i adres, że zabiją mnie, jeśli nie zatrzymam się w zaciekłości prześladowczej. Otóż ja panu oświadczam, że nigdy nie byłem prześladowcą względem żydów. Ja mam przyjaciół między żydami i wielu z nich zna mnie dobrze i wiedzą to, że mi na myśl nie przychodzi prześladować wyznawców jakiejkolwiek religii! Jakiż człowiek religijny i wierzący prześladowałby kogo dla wiary? Kwestya żydowska w Rosyi jest nietylko do osądzenia, nazbyt jest ona do najważniejszych. Jej charakter jest więcej społeczno-polityczny niż religijny. Kwestya żydowska, jako taka, która... fatalny spadek, jako rodzaj inwentarza... W Rosyi żydzi żyją z handlu i z pośrednictwa. Uczyniono tylko to, co wolno było uczynić. Nie wiecej. Nawet nie tyle! Walka ... Porządnym, wykształconym żydom nikt nie robi przeszkód... baron Hirsch: „Oświadcz Rosyi 50 milionów na budowę kolei, jeśli pan zgodzi się, aby kwestya się pod zaciekłości przeciw żydom“. Odesłałem go do rządu. Pan Hirsch był żydem, który mnie z czasem lepiej poznał, a który brał udział w powszechnym krzyku przeciw mnie, tyle żydów, tyle zawiera kłamstwa i oszczerstwa, tyle świadomego i nieświadomego fałszu.“

Protestował też Pobiedonoscew przeciw cyonizmowi mu zarzutom, jakoby on sparaliżował zamiar nadania konstytucyi, powziętej przez cara Aleksandra II. Po naprzód mówił, że ... on odmówił, że wię sprawie rady Pobiedonoscewa, o on nadanie konstytucyi, byłoby nadaniem jej śmiertelnego ciosu. „Radziłem, jak radziłem, ale takie pojęcia, że go tylko w postanowieniach rząd zredukowanych.

„Pozdrawiam mnie także — mówił Pobiedonoscew — iż usiłuję sprowadzić kraj cały na tor panslawizmu. Jest to słowo głupie! Tylko wrogowie Rosyi mogli je wymyślić. Panslawizm! Czego on chce i co on znaczy? Czyżby istotnie wierzono, że kto rozsądny może u nas mniemać, jakoby Rosya chciała wszystkie słowiańskie kraje i ludy pod swojem berłem połączyć! My wiemy czem jesteśmy, mamy świadomość potęgi naszej. Nie chcemy być niczem więcej! Jesteśmy największem państwem słowiańskiem! Czyżby to nam nie miało wystarczać? Jako Słowianie mamy narodowe sympatye ku innym Słowianom, życzymy im dobrego powodzenia religijnego i językowego. Czyż temu tak trudno zadośćuczynić w innych państwach? Zapewne, że nie, nawet w Austryi nie; byleby tylko jezuickie zakusy nie były tam rozstrzygającymi. Zdaje się, że obecne wypłynęły one tam na wierzch. Rząd nie jest za nimi ani jawnie ani skrycie, ale często się waha, a podczas tego dążący zawsze do jednego celu Jezuici posuwają się naprzód. W ten sposób tłómaczę sobie przedewszystkiem stosunki w Galicyi i na Bukowinie. Wszyscy ich tam popierają, ale nie jest to z korzyścią dla Austri, że Polacy dają im taką nieograniczoną wolność działania. Pragnę, otwarcie mówiąc, i to w myśl naszych religijnych i narodowych uczuć, aby to się zmieniło i chciałbym także, aby liberalni Madziarowie lepiej i energiczniej wykonywali ideę równouprawnienia względem poddanych sobie Słowian. I tu tylko oni umieliby z tego korzystać! Takich pragnień nie ukrywam, ale wysuwać z tego dążności panslawistyczne jest nie mądrze i fałszywie; takich dążeń u nas nie ma. Jesteśmy zadowoleni z tego, co nam Opatrzność dała!“

„Goplana“ Zeleńskiego budzi w kołach muzycznych prawdziwy, niebywały zachwyt; miłośnicy muzyki uczęszczają pilnie na tę operę, wystawianą obecnie w Krakowie „Znamy takich — pisze *Czas* — którzy nie opuścili ani jednego przedstawienia. Jeden meloman przybyły z daleka, czekał dwa tygodnie w Krakowie na „Goplanę“, a usłyszawszy ją po raz pierwszy, postanowił nie wyjeżdżać przed ostatniem przedstawieniem“. Dotychczas wystawiono operę cztery razy, a każde przedstawienie jest znakomitszem, każde szczelnie wypełnia teatr i wywołuje ogromny entuzyazm publiczności.

Pożar od piorunu. W Wołkowcach pod Borszczowem lunął dnia 27 b. m. po wielkiej spiece ogromny deszcz. Pioruny padały gęsto, a od uderzenia jednego z nich zajęła się chata Fedka Szkwarka. Zrazu nie było komu ratować, bo ludzie byli w polu. Dopiero potem, gdy smagani deszczem zbiegli się do wsi, można było rozpocząć akcyę ratunkową, ale chłopi swoim zwyczajem stali z opuszczonemi rękami bo mają zabobon, że nie wolno ratować tego „co Bóg zapalił“. Dopiero na wezwanie księdza i za jego przykładem wzięli się do gaszenia i tak udało się pożar zlokalizować. Przy gaszeniu ognia dał się uczuć brak wszelkich przyrządów ratunkowych.

Dwa zjazdy Sokołów polskich odbędą się w sierpniu. Jeden, jak wiadomo, w Poznaniu w dniach 14, 15 i 16, a drugi jeszcze prędzej, bo w dniach 1, 2 i 3 sierpnia, urządza go zaś związek Sokołów polskich w Chicago.

Na śmierć zasypany został wczoraj gruzami walącej się rudery robotnik Jan Łanowy, liczący lat 40, ojciec dwojga dzieci. Miejscem tragicznego tego wypadku była rudera przy ul. Gródeckiej pod l. 30 a powodem jego, karygodna niedbałość przedsiębiorcy Eisiga Tigera, który „jest sobie“ kupcem od wszystkiego; handluje zwykle drzewem, a że mu się trafiło kupno rudery, przeznaczonej do rozbiórki, nabył ją więc i począł demolować. Widocznie nie oddał tej roboty właściwemu kierownikowi, lecz sam własnym przemysłem, byle taniej, jął się rozbiórki. Zamiast burzyć dom od wierzchu, dobrali się robotnicy do fundamentów, wskutek czego katastrofa była nieuniknioną. Wczoraj o godzinie 6 wieczorem runął cały wierzch domu i zasypał dwóch robotników stojących opodal. Jan Łanowy został tak gruzami przygnieciony, że zmarł natychmiast, drugiego zaś robotnika Jana Macha wydobyto żyjącego jeszcze. Życiu jego nie grozi niebezpieczeństwo. Tiger dowiedziawszy się o wypadku, ukrył się tak, że go policya dotąd odszukać nie mogła.

Samobójstwo. Nad brzegiem Dunaju w Linzu znaleziono w tych dniach odzież i dokumenta należące do Franciszka Tscheka, sekretarza dyrekcyi skarbu w Czerniowcach, który przed kilku dniami, w anormalnym stanie umysłu, wyjechał bez urlopu z Czerniowiec i prawdopodobnie w przystępie obłąkania rzucił się do Dunaju. Poszukiwania za zwłokami dotychczas są bezskuteczne.

W sprawie katastrofy chodyńskiej rozporządził car, ażeby sądy żadnego śledztwa nie prowadziły i sam „po gruntownem zbadaniu rzeczy“ wydalił ze służby przedewszystkiem policmajstra Moskwy Własowskiego za nieporządki jakie wówczas na Chodyńskiem polu panowały. Polecił także car, ażeby ministrowie dworu i spraw wewnętrznych surowo ukarali wszystkich urzędników, którzy przez niedbalstwo przyczynili się do tej strasznej katastrofy, a nadto wydał do senatu ukaz następujący:

„Roztrząsnąwszy osobiście śledztwo tymczasowe, wyprowadzone z powodu nieszczęśliwego wypadku zaszłego w dniu 18 maja b. r. na polu Chodyńskiem w Moskwie, z największym naszym smutkiem nie mogliśmy nie dostrzedz, że chęć ze strony drugorzędnych wykonawców przywłaszczenia sobie nieodpowiedniego znaczenia wywołała między nimi współzawodnictwo, czego następstwem był brak wzajemnego współdziałania. Pragnąc położyć kres podobnym objawom, mogącym mieć najszkodliwsze następstwa w całej Rosyi, rozkazujemy wszystkim ministrom, wszystkim głównozarządzającym oddzielnemi częściami, wszystkim jenerał-gubernatorom, wszystkim gubernatorom i wszystkim zwierzchnikom wszelkich dykasteryj, ażeby kierowali swoją działalność i rozporządzenia do jedności i mieli nieustanny nadzór, ażeby podwładne im instytucye i osoby nie dopuszczały się między sobą współzawodnictwa i niezachwianie okazywały sobie współdziałanie dla dobra służby“.

Na kongresie socyalistycznym w Londynie zaznaczył się zaraz z początku rozłam między socyalistami a anarchistami. Aby anarchistów nie dopuścić do obrad, zarządzono szczegółowe sprawdzanie mandatów, którymi się delegaci legitymują. Podczas tego sprawdzania powstały wielkie hałasy, bo nietylko wielu anarchistów, ale nawet znaczniejsi przywódcy socyalistyczni nie mieli dostatecznych legitymacyi. W grupie francuskiej zapanowało przeciw anarchistom takie rozjątrzenie, że Millerand, stojący na czele francuskich delegatów socyalistycznych, zażądał, aby jego 47 kolegów uważano za odrębną grupę, która się wcale nie solidaryzuje z innymi francuskimi delegatami, wyznającymi hasła anarchistyczne. Kongres zgodził się na podzielenie grupy francuskiej na dwa obozy i wogóle przybrał groźną postawę wobec cisnących się do uczestnictwa w obradach anarchistów. Te walki trwały długo; wreszcie postanowiono głosować według narodowości, czy ma się anarchistów bezwzględnie wykluczyć od obrad, czy nie. Delegaci każdego kraju rozstrzygali naprzód między sobą, czy mają się oświadczyć za dopuszczeniem anarchistów, czy przeciw, a potem stosownie do tej uchwały oddawali głos jeden imieniem całej narodowości. Rezultat był taki, że 18 narodowości oświadczyło się przeciw dopuszczeniu anarchistów, a w ich obronie stanęli tylko Francuzi i Holendrzy. Teraz spodziewają się socyaliści, że przystąpią spokojnie do obrad; w łonie ich jednak jest jeszcze tyle stronnictw, że prędzej czy później niezgoda wybuchnie.

Podczas sprawdzania mandatów wykluczono podobno jednego polskiego socyalistę, którego podejrzywano o szpiegostwo na rzecz Rosyi.

Z Zakopanego nadchodzą bliższe szczegóły o szkodach, jakie wyrządziło oberwanie się chmury dnia 23 b. m. w tamtejszej okolicy. Na przestrzeni między Szaflarami a Poroninem droga uszkodzona, potoki Florenów, Szypuszów i Skupniów zasypane kamieniami, rowy zupełnie zamulone, most na Dorniowie zniszczony, a most w Cudzikowie na Białym Dunajcu podmyty. Na drodze Czorsztyn-Zabornica cała wieś Maniowa była pod wodą, rowy zaniesione piaskiem i mułem, przepusty zasypane, drogi zniszczone. Zabudowania potoku Michałów zupełnie zniesione. Ogólna szkoda nie da się na razie obliczyć; w każdym razie przenosi wiele tysięcy.

Józef Haas generalny konsul austro węgierski utonął w Shanghai. Depesza, donosząca o tym wypadku wiedeńskiemu urzędowi spraw zagranicznych, nie przynosi bliższych szczegółów. Zmarły położył wielkie zasługi około rozwoju eksportu produkcyi austryackiej do Chin.

Czarna załoga. Na „Wielkiej Newie“ pod Petersburgiem zarzucił kotwicę statek angielski, którego większą część załogi składają murzyni. Czarni majtkowie, spacerujący po wyspie Wasiljewskiej, okrążeni bywają przez tłum ciekawych.

Zmarli. W Stryju zmarł Edmund Opolski, notaryusz.

Stan powietrza. T. o 9 rano + 18 R, w poł. 26 R. Bar. 762. Nieruchomy. Pogoda.

Są ludzie...

Są ludzie, których mądrość zaledwie wystarcza na ukrywanie głupoty.

Są ludzie, którzy narzekają na gorycze życia dlatego, że na słodyczach tegoż życia popsuli sobie żołądek.

Są ludzie, którzy ukrywają się z tem, z czem wydawać się powinni, a są ludzie, którzy wydają się z tem, z czem ukrywać się powinni.

Z teatru. Dziś w piątek nie ma przedstawienia. W sobotę „Montjoye“, komedya w 5 aktach Oktawiusza Feuilletta, z udziałem Kwiecińskiej, oraz pp. Żelazowskiego, Woleńskiego, Chmielińskiego i Walewskiego w głównych i popisowych rolach. W niedzielę „Zbójcy“, tragedya w 5 aktach Fryderyka Schillera z p. Żelazowskim w roli Franciszka, z p. Woleńskim w roli Karola. W roli Amalii wystąpi panna Helena Marton, w roli Rollera p. Jan Nowacki, artysta teatru poznańskiego. W poniedziałek nie będzie przedstawienia. We wtorek (wznowienie) „Wojna podczas pokoju“, komedya w 5 aktach J. Mozesa i Fr. Schönthana.

Literatura i sztuka.

* **„As“**, powieść A. Dygasińskiego. Warszawa, u Centnerszwera, 1896.

Niedosyć mieć talent, ale nadto potrzeba długiej, wytrwałej i niemal mikroskopijnej obserwacyi, aby dojść do takiej znajomości zwierząt, ich zwyczajów i obyczajów, jaką posiada p. Adolf Dygasiński. Z niezaprzeczoną maestryą umie on uduchowić swych bohaterów ze świata zwierzęcego, wszczepić w nich pokrewne ludziom instynkta, podpatrzeć tajniki ich natury, a to wszystko otoczyć takim humorem i oryginalnością, że czytelnik ma złudzenie, jakoby znalazł się wśród doskonałych znajomych, których tylko nie starał się bliżej poznać, i wierzy w dodatku, że — gdyby doń przemówili zrozumiałym dla niego językiem — odnalazłby w nich tę samą psychologię, którą z taką subtelnością podsunął im autor.

Mamy więc przed sobą historyę psa Asa, niestety psa wykolejonego. Natura wyposażyła go hojnie we wszystkie zalety doskonałego wyżła. Posiada więc rasę, wyborny wiatr, zaciekłość myśliwską, lecz złe wychowanie spaczyło te przymioty i As zamiast wybornym tropowcem, stał się rozleniwionym, rozpieszczonym pokojowcem. W tem wykolejeniu spoczywa źródło jego niedoli. As nigdy nie jest sobą, bo czy wesoło buja wśród swoich rówieśników na Placu Zielonym, czy też wylegiwa się na kanapach swojego pana, czy nawet staje się pośrednikiem miłości między zakochaną parą, zawsze ta rola przystoi mu, jak kwiatek do kożucha. Usiłowano wprawdzie naprawić te błędy młodości, ale z jak fatalnym skutkiem, As, oddany w spóźnionym wieku do „układania,“ zamiast „wystawiać“ kuropatwy, dusi kury w podwórzu, zamiast aportować zwierzynę, znosi swemu ciemięzcy skradzione kiełbasy. W nagrodę otrzymuje, na co zasłużył — niemiłosierne baty. Zmaltretowany, wychudzony, postanawia zerwać z edukacyą i rusza w świat daleki. Teraz rozpoczyna się dla biednego psa długi szereg najróżnorodniejszych przygód, w których ustawicznie dostaje się „z deszczu pod rynnę,“ aż mizerny swój żywot kończy w płomieniach podpalonej sterty, w której po wielu znojach szukał przytułku i wytchnienia.

Z dziejami Asa łączy się i historya różnych ludzi, którzy pośrednio lub bezpośrednio wpływają na jego losy. Trzeba istotnie prawdziwej maestryi, aby z tego materyału stworzyć powieść, którą od początku do końca czyta się z niesłychanem zajęciem. Zdrowy realizm oddaje Dygasińskiemu wielkie usługi, czyni bowiem jego utwór nie jakąś fantazyą, albo suchą zoologiczną rozprawą, ale rzeczywiście powieścią, tryskającą życiem i prawdą. Może niektóre skrócenia, mianowicie też strony opisowej, wyszłyby powieści na dobre, ale nie pozwoliłyby autorowi tak drobiazgowo wyzyskać wielce zajmującego przedmiotu, a czytelnikowi poznać bogatej obserwacyi autora.

SPORT.

Hr. E. Batthyany'ego ogier gniady 3 letni „Ganache“ wygrał dotychczas w nagrodach wyścigowych 141.490 złr. i 91.600 marek, razem zatem prawie 400.000 koron.

* * *

Wychodzący w Warszawie pod naczelnem kierownictwem p. St. Wotowskiego dwutygodnik sportowy pt. *Jeździec i Myśliwy* w sprawozdaniu o wyścigach konnych w Moskwie podaje między innemi wiadomości następujące:

Dnia 30 czerwca st. st. więc 12 lipca n. st. odbył się na Chodyńskiem polu bieg o „Derby Wszechrosyjskie“, 30.000 rubli. Zwycięzcą był p. J. Reszkego „Matador“, drugą p. L. Grabowskiego „Testa Bianca“, trzecim tego właściciela „Barbier de Séville“. Zatem trzy pierwsze miejsca zdobyły konie ze stajen polskich.

Tego dnia znowu koń ze stajni polskiej: hr. M. Zamoyskiego „Hungarian“ wygrał nagrodę cesarską 10.000 rubli; drugą była p. L. Grabowskiego „Fanchon“.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 29 lipca.

(Z.) Wczorajsze sprzedaże walorów tureckich na giełdzie paryskiej miały charakter formalnej paniki, która sparaliżowała kompletnie sukces subskrypcyi na pożyczkę rosyjską. Spekulanci nasi łudzili się nadzieją, że to wstrząśnienie było tylko chwilowe i dziś przecież będzie wyzyskany wszędzie ten dodatni motyw, zwłaszcza, że rozeszła się pogłoska, iż mocarstwa, mające interes w niedopuszczaniu do bankructwa Turcyi, przedsięwezmą dziś t. zw. zakupna interwencyjne. Nadzieja ta jednak nie ziściła się. Nietylko nie było dziś kupców na tureckie papiery, ale znalazło się jeszcze sporo takich, którzy, nie zdążywszy wczoraj sprzedać swych papierów, sprzedawali je dzisiaj. Jeszcze bardziej pogarszała sytuacyę ta okoliczność, że spadek dalszy walorów amerykańskich źle usposabiał giełdę londyńską. Wobec takich warunków dzień dzisiejszy był dalszym ciągiem wczorajszej zniżki.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 358·75, węgierskie 384·50, Anglobanki 155·25, Uniony 287·—, Bankvereiny 266·25 Länderbanki 249·25, Ludwiki 219·50, Czerniowieckie 288·25, Elbethale 274·—, Renta papierowa 101·50, srebrna 101·60, austryacka złota 123·69, austr. renta wal. kor. 101·20, węgierska złota 122·45, węgierska renta wal. kor. 99·40, dukat 5·64, 20-frankówka 9·51—, marki 11·73, ruble 1·26½.

§ **Węgierskie ministerstwo rolnictwa** wydało rozporządzenie, bardzo dla rolników pożądane: Zarządy dóbr skarbowych, które są obowiązane produkować nasiona zbóż i pasz najlepszego gatunku, otrzymały polecenie dostarczania tych nasion rolnikom, którzy tego żądają. Następuje to albo za gotówkę, a w takim razie bierze się za podstawę cenę targową z tego dnia, kiedy zakupno nastąpiło, albo też nabywca obowiązuje się z następnego swego zbioru oddać nasiona tej samej wagi i tego samego gatunku. Jest to bardzo użytecznem dla rolników, mieszkających w niedalekiem sąsiedztwie dóbr skarbowych, którzy w ten sposób bez wydatku w gotówce dostać mogą nasiona najlepszej jakości. Że zaś zarządy tych dóbr skarbowych mogą wydawać nasiona tylko w miarę zapasów, przeto dla pewności można się prenotować, a to na zasiewy jesienne od 1 czerwca do końca września, na wiosenne od 1 czerwca do końca grudnia.

Telegramy „Przeglądu“.

Pięciokościoły 31 lipca. W sklepie kupca Köszla, znajdującym się w ratuszu tutejszym, eksplodował zapas prochu. Skutkiem tej eksplozyi powstał ogromny pożar, a mnóstwo osób, znajdujących się na rynku w pobliżu sklepu, zostało ciężko pokaleczonych i poparzonych. Z gruzów wydobyto trzy trupy. Między ciężko rannymi znajduje się burmistrz Aidiger. W szpitalach umieszczono 43 osób strasznie pokaleczonych. Wiele z nich nie przeżyje tej nocy. Dotychczas nie odszukano kupca Köszla, w którego lokalu wydarzyła się ta katastrofa. Majątek jego wzięto w sekwestr. Rzeczoznawcy orzekli, że powodem katastofy była eksplozya co najmniej 40 kilogramów prochu lub nitrogliceryny.

Wiedeń 31 lipca. Przybył tu marszałek krajowy hr. Stanisław Badeni.

Kilonia 31 lipca. Cesarz niemiecki przybył tu wczoraj wieczorem na pokładzie swego jachtu „Hohenzollern“.

Ateny 31 lipca. Uzbrojona banda, która przez granicę do Macedonii chciała wtargnąć, została przez wojska tureckie odparta. Zdaje się jednak, że innym bandom udało się przedrzeć przez granicę macedońską.

Marsylia 31 lipca. Wczoraj wieczorem eksplodowało naczynie, napełnione prawdopodobnie dynamitem i podrzucone do bramy jednego z domów. Eksplozya ta zrządziła dość znaczne materyalne szkody, ale z ludzi nikt nie doznał szwanku.

Hawana 31 lipca. W stolicy wyspy Pinos odkryto sprzysiężenie. Władze skonfiskowały broń i amunicyę spiskowców i zarządziły liczne uwięzienia. Aresztowani spiskowcy urządzili rewoltę, którą jednak policya stłumiła i przywróciła porządek.

Lwów dnia 31 lipca (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 218.50 do 221.50, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 288.— do 291.50. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 398.— do 400·—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat 5 proc. a 10 proc. prem. 110.10 do 110.80, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 99.80 do 100.50. 4 proc. los w 60 lat 96.60 do 97.30 Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.50 do 101.20. Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 98.10 do 98.80 4 proc. los. w 42 i pół latach 97.70 do 98.40, 4 proc. los. w 56 lat. 97.50 do 98.20.

Obligi. za 100 zł.: Gal. fund propinacyjnego 4 proc. 97.60 do 98.30. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.50 do —. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.— do 102.70. Pożyczki kraj. 6 proc. 105.— do —.—, 4 i pół proc. 100.00 do —·—, 4 proc. z r. 1891 97·— do 97.70, 4 proc. po 200 koron z roku 1893 97.10 do 97.80.

Monety. Dukat cesarski 5.61 do 5.71. Napoleondor 9.50 do 9·60. Półimperyał 9.60 do —.—. Rubel rosyjski papierowy 1.26 do 1.27. 100 marek niemieckich 58.60 do 59.—

Wiedeń 30 lipca. Notowania wieczorne. Kredyty 360·50 węgierskie kredyty 386.50, anglobank 155·50, bankverein 265.25, unionbank 288·50, laenderbank 250·50, staatsbahny 358·75 lombardy 102·50, elbethale 274·50, akcye tytoniowe 153.50 rima 237.00, alpiny 79.75 renta majowa 101.60, węg. renta złota —.—. austr. renta koronna —.—, losy tureckie 48·75 węg. renta koronna 99·55, marki 58.75. ruble 126·25.

NADESŁANE.

RUCH POCIĄGÓW KOLEJOWYCH

obowiązujący z dniem 1 maja 1896 (czas środk.-europejski).

Do Lwowa przychodzą:	Pociągi pospieszne			Pociągi osobowe			
Z Berlina	5.10	1.30		8.55	6.55	9.30	
Z Krakowa Wiednia i Wrocławia	5.10	1.30	8.45	8.55	6.55	9.30	
Z Warszawy	5.10			8.55		9.30	
Z Muszyny-Krynicy przez Tarnów †) od 1 czerwca do 30 września *) od 25 czerwca do 15 września	*5.10			†8.55	6.55		
Z Muszyny-Krynicy przez Rzeszów	5.10						
Z Muszyny Krynicy przez Przemyśl	—		8.45	8.55		9.30	
Mszany d. przez Tarnów							
Z Rozwadowa i Nadbrzezia przez Dembicę	—						
Chabówki przez Tarnów	5.10	1.30			8.55		
Z Chabówki przez Rzeszów	5.10	1.30					
Z Chabówki przez Przemyśl	—	1.30		8.55			
Z Rawy ruskiej przez Jarosław	—	1.30	8.45			9.30	
Z Krosna, Iwonicza, Rymanowa, Sanoka przez Przemyśl	—	1.30	8.45	8.55		9.30	
Z Mezö-Laborcz i Pesztu przez Przemyśl	—		8.45	8.55		9.30	
Z Ławocznego, Pesztu, Miskolcza, Munkacza	—			8.00			12·10
Z Hrebenowa, tylko od 10 lipca do 31-go sierpnia	—			1.51			
Ze Skolego i Stryja *) ze Skolego tylko od 1 maja do 30 wrześn.	—			8.00	1.51	10.10	12·10
Z Stanisławowa przez Stryj	—			8.00	1.51		12.10
Z Chyrowa przez Stryj	—			8.00	1.51	10.10	
Z Suczawy, Husiatyna, Kőrösmező, Słobody, rungurs., Berhometu, Czudyna, Radowiec, Kimpolungu, Bukaresztu i Jass	—		9.55				
Z Suczawy, Czortkowa, Kőrösmező, Kałusza, Sopowa, Bukaresztu i Jass	—				2·01		
Z Suczawy, Radowiec, Berhometu i Czudyna każd. poniedziałku). Peczeniżyna	—					6.19	
Z Suczawy Husiatyna, Kałusza, Nowosielicy, Czudyna każdego poniedziałku Radowiec, Kimpolungu, Bukaresztu i Jass	—			7.28			
Z Sokala i Jarosławia przez Rawę ruską	—			8.15		5.45	
Z Bełzca	—					5.45	
Z Podwołoczysk i Brodów na dw. Podzamcze	—	2.18	9.50	7.42	4.45		
Z Podwołoczysk i Brodów na dworz. główny	—	2.34	10.05	8.05	5.10		
Z Brzuchowic od 1 maja do 21 czerwca i od 15 sierpnia do 6 wrześn.	—					8.03	
Z Brzuchowic od 26 czerwca do 14 sierpn.	—					8·26	
Z Janowa *) przez cały rok, †) tylko od 16 czerwca do 31 sierpn.	—			*7.50	†5.28	†8.54	
Z Janowa tylko od 1 maja do 15 czerwca i od 1 września do 30 kwietnia	—				1.10	7.48	
Ze Lwowa odchodzą do:							
Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina	8.40	2.50	11.00	4.40	9.55	6.45	
Warszawy	8.40		11.00	4.40		6.45	
Muszyny-Krynicy przez Tarnów *) tylko od 1-go czerwca do 30 września	8.40		11.00	4.40		*4.45	
Musz.-Kr. przez Rzeszów	—		11.00				
Musz.-Kr. przez Przem.	—					6.45	
Rozwadowa i Nadbrzezia	8.40		11.00	4.40			
Chabówki przez Tarnów	—		11.00				
Chabówki przez Rzeszów	—		11.00		9.55		
Chabówki prz. Przemyśl	—				9.55	6.45	
Rawy r. przez Jarosław	—	2.50		4.40			
Chyrowa, Sanoka, Iwonicza, Rymanowa przez Przemyśl	—			4.40	9.55	6.45	
Mezö-Laborcz i Pesztu przez Przemyśl	—			4.40		6.45	
Ławocznego, Munkacza, Miskolcza, Pesztu prz. Stryj				5.22		7.22	
Hrebenowa tylko od 10 lipca do 31 sierpnia przez Stryj	—				9.35		
Skolego i Stryja *) do Skolego od 1 maja do 30 września				5.22	9.35	*3.05	7.22
Stanisławowa i Chyrowa przez Stryj	—				9.35	7.22	
Chyrowa przez Stryj	—			5.22			
Suczawy, Jass, Bukaresztu, Husiatyna, Kőrösmező, Kołomyi nad. przecm., Berhometu, Czudyna, Radowiec, Kimpolunga	6.10						
Suczawy, Peczeniżyna, Czudyna i Berhometu każd. poniedz. Radow.	—				10.25		
Suczawy, Jass, Bukar., Czortkowa, Kałusza, Kőrösmező, Kimpol.	—				2.45		
Suczawy, Jass, Bukar., Husiatyna, Kałusza, Peczeniżyna Nowosielicy Radowiec	—						10.15
Sokala i Jarosławia przez Rawę ruską	—			9.15		[illegible]	
Bełzca	—			9.15			
Podw. i Brodów z Podz.	6.14	2.25		9.48			11.12
Podw. i Brodów z gł. dw.	6.00	2.11		9.30			10.45
Zimn. wody od 1 czerwca	—				3.20		
Brzuchowic od 14-ego czerwca w niedziele i święta	—				1.20	3.20	
Brzuchowic od 1 maja do 6 września w dnie pow.	—				8.20		
Janowa od 1 maja do 15 czerw. i od 1 wrz. do 30 kwiet. codziennie				9.45	3.00	8.55	
Janowa od 16 czerw. do 31 sierpnia * codzien. † w niedzieli i święt. § w dnie powszednie				*9.45	†1.05	§3.00	*6.[illegible]5

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

W biórze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawialnych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym. Informacye w sprawach taryfowych i przewozowych. Czas środkowo europejski różni się od czasu lwowskiego o 36 minut. Godz. 12 czasu środkowo europejski = godz. 12·36 zegara podług lwowskiego.

9)

WYSWATANA

Powieść

Jana de la Brète.

Tłumaczona na polskie przez baronową Hartingową.

(Ciąg dalszy).

Doszłam już bowiem była do tego stanu rozdrażnienia, że za nic sobie ważyłam groźne następstwa mego oporu.

Henryk zgrzytnął zębami, a z oczu jego posypały się iskry.

— Czy wolno mi zapytać — rzekł ze złowieszczym spokojem — co jest powodem twojej odmowy?

W jednej chwili cały gniew mój roztopił się w głębokiem wzruszeniu.

— Nie gniewaj się, Henryku — rzekłam drżącym głosem. — Wyznam ci prawdę otwarcie... Jestem zazdrosna o nią, o wasze wspomnienia, o przeszłość... Wiem, żeś ją kochał za młodych lat... Jakże więc chcesz, żebym ja sprowadzała ją tutaj!

Słuchał w milczeniu, wsparty o kominek, a żaden rys jego pięknej i zimnej twarzy nie drgnął. Nagłym ruchem zbliżyłam się do niego.

— Wysłuchaj mnie do końca, błagam cię! Stworzyłeś mi ciężkie życie u swego boku; wzgardzona przez ciebie, szamocę się z bólem, który mi piersi rozrywa; ale wszystko jeszcze da się naprawić. Puśćmy przeszłość w niepamięć. Jesteśmy młodzi oboje, długie życie mamy przed sobą. Czyż spędzimy je w ciągłej rozterce, aby opamiętać się wtedy dopiero, gdy będzie już za późno, a jad goryczy wygryzie nam serca? O, Henryku! — dodałam namiętnie — wróć mi uczucie twoje, wróć ufność, a słoneczne dni szczęścia zabłysną dla nas na nowo. Zapomnijmy win wzajemnych, zacznijmy życie na nowo!

Ale on zniecierpliwionym ruchem wyrwał dłoń swą z mego uścisku i odepchnął mnie brutalnie:

— Boże!... Jak ty mnie męczysz temi scenami! — zawołał. — Czyś skończyła?

— Skończyłam — odparłam głucho, cofając się w tył. — Skończyłam raz na zawsze.

Ach, jakże czułam się upokorzoną, żem nadmiernie żebrała współczucia tego skamieniałego serca! Goryczy zalewała mi duszę na myśl, że czysta moja miłość małżonki stanęła do nierównej walki z szałem namiętności dla tej zalotnicy, którą pogardzałam.

— Czy chcesz pozyskać mnie, stając ciągle w sprzeczności z mojem zdaniem? — sarkastycznie odezwał się mój mąż. — Zresztą nie proszę już, nie namawiam, lecz rozkazuję: Napiszesz do Aliny!

— Nigdy!

Blady z gniewu, poskoczył ku mnie i tak gwałtownie schwycił mnie za ramię, że wydałam okrzyk bólu. Dysząca upadłam na fotel.

— Musisz uledz! — syknął przez zaciśnięte zęby.

— Nie!.. Nigdy nie potafisz przymusić mnie do tego, żebym tę kobietę zapraszała do mego domu!

Nie wiem, coby się było stało, gdyby nie niespodziane wejście pana Augusta.

Henryk puścił moje ramię, które trzymał zaciśnięte jakby w kleszczach, i wzburzonym głosem rzekł:

— Przykro mi, mój kochany, że znowu trafiasz na scenę małżeńską; ale wobec niektórych charakterów trudno jest czasem zachować zimną krew.

Wyszedł szybko i nie widziałam go już więcej dnia tego.

Pan August usiadł obok mnie i biorąc zsiniałą dłoń moją w swoje ręce, pogłaskał ją łagodnie.

— Biedne, biedne dziecko — szepnął prawie bezwiednie.

Podniosłam ku niemu wzrok ociężały, w którym musiała się malować bezdeń rozpaczy, bo twarz jego ściągnęła się od bólu tłumionego.

— Wszystko skończone — rzekłam głucho. — Nie ma już nadziei dla mnie!

— Nie mów pani tego — podchwycił gorąco. — I najgorsze położenie może się jeszcze zmienić.

— Tak pan mówisz tylko, ale czujesz co innego. Taki stan nie może trwać. Siły moje wyczerpią się do reszty. Od jakiegoś czasu zaczynam myśleć o separacyi... Ale to jest niemożliwe ze względu na mego biednego ojca... nieprawdaż?

— A gdyby ojciec twój nie stał na przeszkodzie, to stanęłaby córka; a gdyby córki nie było, to i tak cofnęłabyś się pani do ostatnich granic możliwości przed rozgłosem skandalu... Znam do gruntu wrażliwą i delikatną naturę pani.

I prawdę mówił. On jeden mnie znał i ceniał, to też jego przyjaźń i współczucie były moją podporą w ciężkich chwilach życia. Nieraz słyszałam, jak mój mąż wyśmiewał się z jego rzekomych dziwactw i źle skrojonego ubrania; ale jakże mało zgłębiał skarby rozumu i szlachetności, które się kryły w duszy tego przezacnego oryginała.

Cisnąc rozpalone skronie rękoma, zaczęłam chodzić po pokoju. On mówił do mnie, ale ja mu nie odpowiadałam, choć spokojne, rozważne a serdeczne słowa jego jak balsam kojący padały na rozranione moje serce.

— Może pan masz słuszność — rzekłam w końcu — ale jam dziś nie zdolna myśleć, ani zastanawiać się. Potrzeba mi widoku mojej córki, aby się uspokoić. Każ mi ją pan przynieść, proszę.

Ucałował w milczeniu rękę moją i wyszedł.

Za chwilę w progu zjawiła się cała wzburzona Józefka, niosąc na ręku uśpioną Lilę. Widok tej ubóstwianej twarzyczki przywrócił nieco ładu mym myślom. Położyłam dziecko na sofce i ukląkłszy obok, zapatrzona w nie, trwałam w długiem milczeniu wyczerpana i nieruchoma.

— Moja wierna, dobra staruszko, gdzie się podziały nasze nadzieje, które poprzedziły przyjście na świat tej dzieciny?! — zapytałam w końcu.

Chciała coś odpowiedzieć, ale słowa stanęły jej w gardle.

Obie zamilkłyśmy znowu.

— Co począć? — odezwałam się wreszcie. — Co przedsięwziąć?... Bo widzisz przecież sama, że szaleństwem byłoby łudzić się dłużej.

— Mój skarbie jedyny — odparła zacna kobieta — nadzieje ludzkie zawodzą, ale Bóg nie zawodzi nigdy. Ja tam nie jestem z tych, co ciągle klepią pacierze, ale kiedy mi ciężko na sercu, to komuż się pożalę, jeżeli nie Bogu?... On Ojciec miłosierny...

Te słowa, które były jakby odwołaniem się do uczuć moich religijnych, zaniedbanych nieco przezemnie w walce życia, w której liczyłam tylko na własne siły, zabrzmiały w moich uszach jak dzwon pogrzebowy wszystkich moich doczesnych nadziei. Chciałam, aby podtrzymała moją otuchę, a ona mówiła mi o Bogu i biernem, pokornem poddaniu się Jego woli, która wysuwała mnie z wszystkich pociech i radości ziemskich.

— O! Józefko — zawołałam, płacząc — więc ty myślisz, że już wszystko stracone dla mnie na tym świecie?

— Nie, nie mój aniołku... Tego nie mówię... ale powiadam tylko, że kiedy życie albo ludzie mi dokuczyli, to myśl o Panu Bogu uspokajała mnie...

Lila zaczynała się budzić, a jej wejrzenie, które uśmiechało się do moich łez, przywiodło mi na myśl, że i jej kiedyś w tem życiu dźwigać przyjdzie brzemię trosk i cierpień, że wtedy podpory i dźwigni moralnej będzie od matki swej wyglądała. Przerażona własną słabością, niezdolną uchronić dziecko od pocisków losu, rzekłam, łkając:

— Masz słuszność... Potrzebuję być silną. Będę się starała odzyskać spokój za pomocą religii, którą i moja córka ukochać musi, żeby nie upaść kiedyś pod ciężarem nieszczęścia.

Podniosłam się wzmocniona tem postanowieniem, ale po chwili żal na nowo ogarnął mą duszę.

— Nie mów mi, że nic już dla mnie nie pozostało na świecie! — zawołałam, rzucając się w objęcia Józefki. — Nie mów, że tylko w niebie dla mnie pociecha i ratunek!... Jam młoda odważna i póki tchu mi w piersi stanie, walczyć będę w obronie praw swoich. Od mego ślubu nie o spokój, nie o rezygnacyę proszę Boga, ale o szczęście, o to szczęście ziemskie do którego czuję się być stworzoną, a które mi wydarto!

W kilka dni po nowej przeprawie z mężem, udałam się do parku, aby ukoić wzburzenie. Długo błądziłam samotnie wśród szpalerów, pod wpływem dziwnego wrażenia. Zdawało mi się, że wszystkie otaczające przedmioty mają zniknąć za chwilę i żegnają mnie z litośnem współczuciem. Może to młodość i tajone nadzieje odbiegały odemnie, aby ustąpić miejsca szarej, smutnej, nieubłaganej rzeczywistości, odartej z różowych złudzeń.

Czy to wspomnienie słów Józefki, czy też spokój uroczej przyrody sprawiły, że myśl moja zwróciła się bezwiednie ku jasnym źródłom, z których niegdyś czerpałam wszelkie pociechy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wielmożnemu Dr. Waleremu Frankowskiemu za uratowanie życia drogiej dzieciny przez umiejętnie wykonaną tracheotomią i sumienną troskliwość, przejęci głęboką wdzięcznością, składają serdeczne „Bóg zapłać".

Linkowie z Cieszanowa.

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółka (Hotel Zorża). Zarządca W. Hodak.